Nr. 3. Lwów, dnia 1. Marca 1888. Rok XI.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAZDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

Polowanie na kozice w Tatrach

opisał

WŁADYSŁAW hr. KOZIEBRODZKI.

(Dokończenie).

Na drugi dzień, już koło dziewiątej z rana, na północnym stoku Baszty, poza niedużą skałą, na wybornem stanowisku ulokował mnie Krzeptowski i dał instrukcyę, jak się mam zachować, sam zaś miał mi nagonić kozicę. Podług jego zdania tym razem niewątpliwie upatrzona kozica musiała mi przyjść na strzał. Pozostałem sam i czekałem — czekałem bacznie i czujnie kwadrans jeden, drugi i trzeci — nie widać nic, cisza dokoła i tylko słońce piekło, naraz usłyszałem gwizd odległy, był to gwizd świstaka, jedyny, jaki w całej tej wyprawie słyszałem w Tatrach — i znów cisza. Czujność i baczność moja zaczęły się zużywać. Pod skałą, około której czekałem, było trochę trawnika, noc ostatnią nic nie spałem, oczy zaczęły się kleić, oparłem sztuciec o skałę i nie wiem jak się stało, ale gdy przyszedł do mnie Krzeptowski, była już druga z południa. Krzeptowski był zgorszony, gdyż podług jego twierdzenia i podług śladów, jakie mi wskazywał, kozica przeszła koło mnie na kroków 30! *mea culpa!*

Schodząc na dół, usłyszeliśmy w pewnych odstępach czasu kilka strzałów po rozmaitych turniach, lecz mimo tych strzałów towarzysze powrócili także z próżnemi rękami, prześladowało nas nieszczęście, ale prześladowało tylko myśliwych, gdyż ksiądz proboszcz, który na dole najspokojniej odpoczywał sobie w cieniu skały, widział pięć kozic, które tak blisko przeszły koło niego, iż rzucił za niemi laską. Tego dnia jeszcze zrobiliśmy marsz forsowny i przeszli w dolinę Mięguszowską.

Nie chcąc się powtarzać, wspomnę tylko, iż dnia następnego podsunęliśmy się z Krzeptowskim, aż pod trzy kozice, ale na odległość przynajmniej dwiestu kroków, bliżej podsunąć się już było niepodobna bez spłoszenia kozic tem więcej, iż widocznie były już niespokojne, gdyż wszystkie trzy stały, chodziły, rozglądały się i tupały nóżkami. Po naradzie, licząc na celność swojego sztućca, wybrałem największą sztukę i mierząc w komorę strzeliłem, Krzeptowski strzelił też równocześnie. Wszystkie trzy kozice z szybkością błyskawicy z przeciągłym gwizdem rozbiegły się w trzy strony, jedna z nich kilku olbrzymimi skokami wysadziła się na pionową prawie skałę i biegła całym pędem po jej gładkiej, prostopadłej ścianie i zachwycający był widok tej zwinności i zgrabności. Kiedyśmy wracali, od strony węgierskiej zerwał się wiatr i napędzał gęste chmury, które zaczęły czepiać się szczytów; wiatr wzmagał się coraz większy i wkrótce otoczyła nas gęsta mgła i zerwała się szalona burza; deszcz nie padał, ale lał strumieniami, pioruny biły, a grzmoty powtarzane echami ryczały bezustannie. Skryliśmy się pod wyłom skały i wkrótce przed nami utworzyła się z deszczu prawdziwa

kaskada; na krok nie było widać, a zimno stało się przenikliwe. Nie mogę w tem miejscu nie wspomnieć wspaniałego widoku, jaki miałem będąc na szczycie Tödi (10.000) w Szwajcaryi. Kiedyśmy byli na szczycie, pod nami na jakie 2.000 stóp niżej zerwała się burza, gęste chmury stworzyły prawdziwe morze mgły, z pod której jak wyspy wspinały się ku niebiosom wyższe tylko szczyty, srebrne od śniegów lodowców. Chmury u nóg naszych kłębiły się, przewalały, ścierały, ożywiając się błyskami piorunów, a nad nami prześliczne świeciło słońce na czystym, spokojnym błękicie i przyszły mi na myśl wtedy słowa poety:

„Grom co tam bije, dla nas tylko błyska".

Burza, która zaskoczyła mnie z Krzeptowskim, chociaż była gwałtowną, nie trwała jednak długo, deszcz zaczął ustawać, pioruny stawały się coraz odleglejszymi i jakby na jakiej wybornej scenie, mgły zaczęły się przedzierać, ukazując przepyszny krajobraz, ozłocony blaskiem słońca i wkrótce jak senne widziadła mgły i chmury odbiegły na północ, słońce nas ciepłe oblało, a po szczytach pozostały tylko lekkie, białe chmurki, które przyczepione do granitów, nie chciały lub nie mogły podążyć za innemi. Przeczekaliśmy jeszcze chwilę, aby potoki deszczu przebiegły i poczęliśmy ostrożnie schodzić na dół, a ostrożność była potrzebną, gdyż kamienie i murawy były niezmiernie ślizkie. Kilku moich towarzyszy, których burza ta zaskoczyła w niebezpiecznych miejscach, zmoczeni i zmarznięci z narażeniem życia zaledwie powrócili do wspólnego ogniska. A jeżeli kiedy, to tego wieczora ognisko było nam potrzebne, aby się ogrzać i wysuszyć zmoczoną odzież. I gorąca herbata nigdy nam tak nie smakowała, jak wtedy.

Dla wyczerpujących się zasobów żywności, a może i w skutek wielkiego zmęczenia, za radą księdza proboszcza, chociaż niechętnie, postanowiliśmy skrócić o dzień jeden zakres naszej wycieczki. Dnia następnego mieliśmy cały ranek jeszcze polować, a po południu mieliśmy się wszyscy zebrać już na szczycie Męguszowskim ponad Morskiem Okiem, aby zdążyć jeszcze na nocleg do szałasu przy Morskiem Oku. Mimo zdwojonej energii i zapału, mimo wszelkiej baczności i ostrożności, na drugi dzień, po trzygodzinnem wspinaniu się, nie zastaliśmy już z Krzeptowskim kozicy, która miała być naszą ofiarą, wielce też zmartwiony, stanąłem jeden ż pierwszych na umówionym punkcie zbornym, to jest na szczycie Męguszowskim. Dochodząc do szczytu słyszeliśmy kilka strzałów na Rysach. Po kilkudniowym pobycie pośród groźnych turni nagich skał, pośród granitów i karłowatej kosodrzewiny, słowem pośród tej smętnej a olbrzymiej przyrody, z niesłychaną rozkoszą wpatrywałem się w przepyszny widok, jaki odsłonił się przedemną z Męguszowskiego szczytu, na Morskie Oko, na Karpaty i na całą równinę Nowotarską, pełną zieleni i życia. Szczyt Męguszowski, nie wiem z jakich powodów, ale nie bywa przez turystów zwidzanym, podług zaręczeń naszych przewodników, myśmy byli pierwsi z turystów (było to w r. 1861), którzy od strony węgierskiej na szczyt ten weszli i byliśmy pierwsi, którzy ze szczytu tego wprost zejść mieli do Czarnego Stawu i Morskiego Oka. Być może że twierdzenie przewodników naszych było dla nas rodzajem komplementu, nie biorąc więc odpowiedzialności za prawdę ich twierdzeń, mogę tylko dodać, iż jeżeli od Morskiego Oka szczyt ten jest dość spadzistym i przedstawia niejakie w drodze trudności, to za to widok z niego jest wspaniałym, tak imponującym, iż sowicie wynagradza wszystkie trudy i zmęczenie, jakie się na jego wyjście poświęca. Jest się na rozłamie dwóch światów, po jednej stronie Tatry, groźne, ponure, strzelające ku niebiosom poszczerbionymi granitami, po szarych, smutnych ścianach tych granitów białe płaty śniegów, a gdzieniegdzie jakiś rąbek z zielonego trawnika lub kilka kosodrzewin, pełzających nieśmiało, słowem milczący świat śmierci — zniszczenia. Po drugiej stronie, oko niewstrzymane leci błękitem aż w dolinę zmienioną w błękit, falowate pagórki karpackie, pełne świeżości, zieleni a niżej, u stóp prawie, Morskie Oko i Staw Czarny odzwierciedlają niebiosa i nadają całemu widokowi niewypowiedziany urok, czar, życie.

Niebawem po mnie zjawił się pan Schauer, który się jednak mało oddawał polowaniu, a więcej a raczej jedynie, swoim zbiorom, to też on i przewodnik jego, literalnie obłożeni byli najrozmaitszymi okazami bądź to z fauny, bądź też z dziedziny geologicznej. Pan Schauer nie wiem ile miał flaszeczek ze sobą, w których pełno było robaków, much, owadów, motyli, to też żartował z nas ciągle, iż jego polowanie, jak nazywał, jedynie się powiodło. Biedny wyżeł jego kulał na wszystkie cztery łapy, pozdzierawszy pazury i skórę po kamieniach.

Wkrótce i reszta myśliwych zbierać się zaczęła i jakaż była nasza radość, gdy naraz z dwóch stron dwie upolowane przyniesiono kozice. Jednego ogromnego capa na Rysach zabił pan Edward Homolacz,*) drugiego mniejszego, jeżeli się nie mylę, Sieczka, przewodnik hr. Wodzickiego na Miedzianej. Naturalnie zaczęliśmy troskliwie wypytywać szczęśliwych strzelców i oglądać przyniesioną zwierzynę. Strzał pana Homolacza był prześliczny, w samą komorę, już za uciekającym capem. Sieczka z hr. Wodzickim pełzali przeszło dwie godziny pod kierdel, z którego jedna została sztuka. Spełniwszy toasty na cześć zwycięzców, dzięki którym nie wracaliśmy z próżnemi rękami, zaczęliśmy zchodzić na dół ku Morskiemu Oku. Wspomniałem już, iż nie radzę zchodzić i wychodzić na niego niewprawnym turystom i że należy bardzo uważać na usuwające się z pod nóg kamienie, a dla tego w każdym razie iść w bardzo ściśniętych odstępach jeden za drugim.

Z początku zchodząc, nie uważaliśmy na to, a ponieważ było nas dużo, to też raz ci, co szli po przedzie, byli w prawdziwem niebezpieczeństwie, lawina kamieni o mało ich nie zepchnęła w przepaść i cudem tylko nikt szkodliwiej nie został uderzonym. Drugi raz Bekas, pośliznąwszy się, o mało także nie stał się przyczyną katastrofy. Rzeczywiście trudności, jakie napotkaliśmy zchodząc z tego szczytu, spowodowały, iż zmrokiem dopiero doszliśmy do Czarnego Stawu ku Morskiemu Oku a równocześnie pogoda się zmieniła i gęsty drobny deszcz zaczął padać. Gdyśmy już od Czarnego Stawu ku Morskiemu Oku zchodzili, zaskoczyła nas noc tak ciemna, iż niepodobna było nam iść dalej i dopiąć celu, to jest dojść do szałasu przy Morskiem Oku, *nolens volens* musieliśmy pod gałęziami świerczyny nocować pod gołem niebem, deszcz padał nieustannie i nocleg ten był prawdziwą męczarnią. Na drugi dzień toż samo i do nitki przemokłszy, powróciliśmy piechotą przez Roztokę i polanę Waksmundzką do Zakopanego. Nie potrzebuje

*) Kozicę tę posłaliśmy bezzwłocznie do zbiorów zoologicznych hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego we Lwowie i jest to jedyny egzemplarz, jaki muzeum to posiada.

dodawać, jak dalece byliśmy zmęczeni i jak wyglądaliśmy smutnie, odzienie podarte, a co do obuwia, to ten był szczęśliwy, który przezornie wybierając się, zaopatrzył w dwie przynajmniej pary.

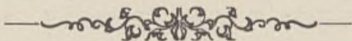
Jednak mimo tych trudów, mimo tych niewygód, pomimo całej ujemnej strony tej wyprawy, pozostała ona niezmiernie miłem i uroczem wspomnieniem i zachęciła mnie do późniejszych w świat alpejski wycieczek i rozmiłowała w polowaniu na kozice.

Z opisu niniejszego łatwo się przekonać o prawdzie tego, com już wyżej powiedział, iż myśliwi turyści nie zdołają wielkiej szkody wyrządzić kozicom w Tatrach. Tępić je mogą i tępią tylko skrytostrzelcy. Do polowania tego potrzeba przedewszystkiem wprawy, zręczności, śmiałości, bystrego oka, wytrwałości, znajomości gór i zwyczajów kozicy, słowem trzeba się urodzić w górach, żyć pośród tatrzańskich turni i poświęcić się prawie tej rozrywce czy rzemiosłu. Turysta więc choćby najśmielszy i najwięcej zapalony, nie jest w tych warunkach wcale kozicom niebezpiecznym, płoszyć je może i będzie, nie prędko jednak którą ubije. Inaczej góral, skrytostrzelec z zamiłowania czy rzemiosła: wytrwałość, zręczność, świadomość i śmiałość czynią go prawdziwym wrogiem kozicy. Bardzo więc była pożądaną i potrzebną ustawa sejmu galicyjskiego, biorąca w ochronę kozice i świstaki. Czy jednak ustawa ta nie pozostanie martwą literą na papierze? Towarzystwo Tatrzańskie, zawiązane w Krakowie pod przewodnictwem hr. Mieczysława Reya, wzięło sobie także za zadanie ochraniać przed skrytostrzelcami kozice i świstaki i w tym celu zaprowadziło nawet swoją straż przysięgłą. Ale strażników tych jest tylko dwóch na taki obszar Tatrów, czy więc może podołać zadaniu swemu ta straż? Nie sądzę. Panowie Homolacze, kiedy jeszcze byli właścicielami Zakopanego, pierwsi jako myśliwi zwrócili uwagę swoją na ochronę kozic i na skrytostrzelców, a chcąc tych ostatnich zrobić nieszkodliwymi, wzięli najwięcej znanych ze swoich leśnych i im czuwanie nad kozicami oraz śledzenie skrytostrzelców powierzyli. Wiem, iż wielu z nich z wielką żarliwością spełniało przyjęty obowiązek.

Obecny właściciel Zakopanego, pan Eichhorn, jest gorliwym członkiem Towarzystwa Tatrzańskiego i wielkim miłośnikiem Tatr, niewątpliwie więc jego liczna służba leśna ma polecenie, aby oddziaływała zbawiennie na zmniejszenie się liczby skrytostrzelców.

Zważywszy jednak, iż górale polują na kozice nie z myśliwskiego amatorstwa, lecz dla zysku, sądzę, iż gdyby władze rządowe, żandarmerya, urzędy miejskie i gminne tropiły bacznie sprzedających kozice i świstaki, to przez to najskuteczniej wpłynęłyby na zmniejszenie liczby skrytostrzelców. Kozice sprzedawane bywały zwykle około 9 złr., jeżeli więc góral nie zdoła spieniężyć zwierzyny, to i odejdzie mu ochota polować na nią, bo dla własnego użytku mięso z kozicy wypadłoby mu bardzo drogo. Należałoby również śledzić skóry z kozic i świstaków i za posiadane tak samo karać jak za ubitą zwierzynę.

Mimo tych wszystkich ustaw, przepisów, dobrej woli i czujności z naszej strony, t. j. ze strony galicyjskiej, kozice i świstaki jeszcze nie będą miały spokoju, gdyż przeważna część wysokich Tatr leży już w obrębie Węgier. Pod tym względem należy wejść władzom naszym i Towarzystwu Tatrzańskiemu w ściśle porozumienie z władzami i odpowiedniemi Towarzystwami po tamtej stronie gór. Może wtedy wspólnemi siłami cel zamierzony osiągnięty zostanie i kozice, ta wspaniała ozdoba naszych tatrzańskich turni, wkrótce obficie się rozmnożą. Wtedy, za lat kilka lub kilkanaście, będzie może można i wolno zawiązać wspólnie z Węgrami Towarzystwo myśliwskie Tatrzańskie i dać pole młodzieży do rozrywki, hartującej ciało i budzącej zamiłowanie do tej wspaniałej, przepysznej alpejskiej krainy.



Ochrona naszej zwierzyny.

Przez

J. Szlezygiera.

W bieżącym roku myśliwskim zaznaczyć wypada zmniejszenie się ilości kuropatw w porównaniu z dwoma poprzedniemi latami. Ubytek ten w wielu miejscowościach zwłaszcza w gubernii Kieleckiej i Lubelskiej, jest tem więcej rażący, że na gruntach niektórych wsi, posiadających kilkanaście włók przestrzeni, nie ma wcale kuropatw, i co dziwniejsze, że w tychże miejscowościach zajęcy jest nadzwyczaj mało. Doświadczeni myśliwi utrzymują, że gdzie zając, tam i kuropatwy i twierdzenie to zdaje się być pewnikiem wobec dopiero przytoczonego faktu.

Niepomyślny ten objaw i w ogóle stopniowy z roku na rok ubytek zwierzyny nie powinien być obojętnym dla gospodarzy myśliwych i niemyśliwych, nie można to zbywać znaną u nas formułką „jakoś to będzie“, lecz trzeba uznać potrzebę starannej opieki i użycia możliwych środków ochrony.

Zastanawiając się nad obojętnością, z jaką się odbywa hodowanie naszej zwierzyny w lasach i polach, nie trudno wskazać przyczyny smutnego stanu gospodarstwa myśliwskiego. Niedaleko widzący dowodzą, że powtarzający się ubytek zwierzyny powodują klęski pojawiające się w przyrodzie, których człowiek odwrócić nie może, n. p. ostra zima, wielkie śniegi, ulewne deszcze i t. p., dla czegoż jednak pomimo nawidzenia temi klęskami całego kraju, nie wszędzie przedstawia się jednakowy skutek. Istnieją więc inne przyczyny, nad któremi zastanowię się tu szczegółowo, starając się dowieść, że brak opieki i środków ochrony najwięcej przyczyniają się do tego, że na danej przestrzeni nigdzie prawie nie ma tyle zwierzyny, ile jej tam być powinno.

Ktokolwiek miał sposobność widzieć, jak się u nas polowania odbywają, musi przyznać, że myśliwych mamy

bardzo mało, ale zato celnych strzelców bardzo wielu, gdyż niemal wszyscy od dzieciństwa mamy pociąg do strzelby a następnie do polowania, zatem każdy młodzieniec stara się przedewszystkiem dobrze strzelać, nie dbając wcale o nabycie wielu wiadomości, przy których mógłby się nazwać myśliwym. Nie ma prawie wsi, w której mieszkający dziedzic lub dzierzawca nie byłby ojcem jednego lub kilku synów, którym daje się zwykłą zabawkę fuzyjkę z blaszaną lufką, wyrzucającą za pomocą mechanicznego przyrządu ziarnko grochu lub patyczek ustrugany z drzewa. Z takiej strzelby chłopczyk stara się usilnie trafić w ustawione papierowe zwierzęta i oto już ziarno padło w urodzajną glebę. W kilka lat później już go ta zabawka nie cieszy, ale zato pilnie przypatruje się, jak starsi obchodzą się z prawdziwą bronią i jej użyciem, a ziarno zasiane w umyśle chłopca zaczyna kiełkować. Następuje czas nauki, który w szkołach szybko przechodzi, nareszcie upragniona chwila nastaje: oto jako nagrodę za otrzymaną promocyę do klasy wyższej chłopak dostaje prawdziwą strzelbę, z której użyciem obeznany teoretycznie, stara się jak najprędzej nabyć wprawy w celnem strzelaniu. Wprawa ta w czasie wakacyi odbywa się kosztem wszelkiego siedzącego ptactwa. Po ukończeniu nauk wraca młodzieniec do domu, który sobie przysiągł, że w ubijaniu największej ilości zwierzyny nikomu się wyprzedzić nie da. Więc zapamiętały strzelec, niepomny pory letniej, tępi zaledwie podlatujące kuropatwy, parotygodniowe zajączki, albo kotne samice, a gdy się kilku takich razem zbierze, którzy w strzelaniu i ubijaniu prześcignąć się pragną, to nic dziwnego, że arena takiego polowania w ciągu jednego lub kilku dni z zwierzyny ogołoconą zostanie.

Takim to sposobem kiełkujące ziarno wydaje plon zarażony niepohamowaną rozsądkiem namiętnością, która przy braku potrzebnych wiadomości wytwarza bezmyślnych strzelców, nie pomnych jutra. W lasach dzieje się toż samo, giną bez wyboru kozy i kozły, a jeżeli co ocaleje, wynosi się w odległe spokojniejsze miejsca. Oto najpierwsza i najgłówniejsza przyczyna nie istniejącego u nas w ogóle przyrostu zwierzyny, a miejscami zupełnego jej braku. Jakaż na to rada?

Niech ojcowie młodych tępicieli powściągną swoją pobłażliwość, niech okiełznają szkodliwe żądze swych synów, a jeżeli sami nie są myśliwymi i nie umieją pożytecznych rad udzielić, niechaj im dadzą w rękę odpowiednie dzieła, z których się nauczą, że umiarkowane polowanie czyli oszczędność przy możliwej opiece dają możność używania korzystnej przyjemności, do jakiej rozsądny myśliwy ma prawo. Po nierozważnej młodzieży następują dojrzali, niby myśliwi, lecz czyniący również dotkliwy uszczerbek w zwierzynie, a są to znajomi właścicieli ziemskich, właściwie amatorowie cudzej zwierzyny, wyzyskujący pozwolenie polowania. W liczbie takich niepomierną klęskę przynoszą urzędnicy władz gubernialnych i powiatowych, którym obywatel z różnych powodów odmówić nie może, a ta dobroduszność sprawia to, że na przestrzeni trzymilowej przy miastach, w których powyższe władze egzystują, już w pierwszych dniach września nie ma prawie zwierzyny.

Takiemu wyzyskiwanemu właścicielowi dóbr radzę wydzierżawić polowanie choćby pozornie zaufanemu przyjacielowi, a w takim razie odmowa jego będzie musiała być uwzględnioną przez tych, którzy zyskawszy pozwolenie, nie mają zwyczaju uszanować cokolwiek na cudzym gruncie. Jeżeli zaś obywatel zechce spożytkować natrętne amatorstwo znajomych, oblizujących się na jego sarny, zające i kuropatwy, niech im bez ogródki oświadczy, że z powodu rozmnożenia się drapieżnych zwierząt i ptaków, polowanie u niego na łowną zwierzynę zamknięte; natomiast, nie szczędząc pochwał w uznaniu ich jako dzielnych uprawiaczy nemrodowego kultu, niechaj ich prosi na polowanie w każdej porze roku wyłącznie na wilki i lisy, rozumie się z osobistym swoim udziałem. Po takiem przemówieniu, pozwalam sobie zapewnić szanownego obywatela, albo nikt z podobnych zaproszeń korzystać nie będzie, albo ci, którzy skorzystają, dopomogą mu do wytępienia drapieżnych wrogów zwierzyny.

Istnieje jeszcze przyczyna lichego u nas zwierzostanu, nie dająca się usunąć jak poprzednie rozsądną powściągliwością w umiarkowanem polowaniu, przyczyną tą jest rozpowszechnione kłusownictwo, czyli kradzież różnymi sposobami cudzej zwierzyny. Kradzieży tej, połączonej z niezmiernem tępieniem i nieludzkiem pastwieniem się, duszeniem za pomocą sideł i różnych tyrańskich przyrządów, dopuszcza się niska klasa ludzi, mianowicie chłopi chciwi niegodziwego zysku. Utyskują wszyscy na ten rodzaj niszczenia zwierzyny, ale mało kto stara się temu zapobiegać, obojętność a po części urojona obawa zemsty, wstrzymują ziemian od śledzenia i pociągania do odpowiedzialności tego rodzaju złodziei. Nie trudno jednak dowiedzieć się o nich we wsi, jakoteż przy starannym nadzorze wykryć używane do tępienia przyrządy, jeżeli kto we wsi uczynić tego nie chce lub nie może, niech zwróci uwagę w pobliskich miasteczkach, do których tacy przemysłowcy przynoszą złowioną przez nich zwierzynę na sprzedaż. Tam znajomy obywatelowi faktor do wykrycia winnego dopomoże, wskaże go strażnikowi ziemskiemu, a objęta przepisami o polowaniu kara ominąć go nie powinna. Z powyższym rodzajem tępienia zwierzyny ma związek niszczenie i wybieranie z gniazd jaj lub wylęgłych piskląt przez swawolę i dziki charakter chłopców wiejskich. Na ograniczenie, a nawet zaprzestanie pomienionej tyrańsko-złodziejskiej praktyki, nie mało wpłynęłoby umoralnienie ludu przez skuteczne ku temu skierowane nauki księży parafialnych i nauczycieli szkółek wiejskich. Nadmienić tu jeszcze wypada, że za podobne sposoby tępienia zwierzyny, kary powinneby być ostrzejsze, jak określone §§. 49—52, 22—25 przepisów o polowaniu, dotąd u nas obowiązujących. Podobne kary należałoby wymierzać na polujących w czasie śniegów przez objeżdżanie kuropatw sankami, przyczem nieraz całe stadko ginie.

Usunięcie wyszczególnionych dotąd przyczyn upadku naszego gospodarstwa myśliwskiego zależy od nas samych, potrzeba tylko dobrej woli i większej czujności. Gdy się tą zasadą przejąć zechcą ziemianie, to przy umiarkowanym naszym klimacie i urodzajności ziemi, w niedługim czasie nietylko będą mieli dostatek zwierzyny na własną potrzebę, lecz da im ona pewny dochód, który stanowić powinien osobną rubrykę w korzyściach z tego rodzaju gospodarstwa przemysłowego.

Prócz zaślepionego namiętnością człowieka, ma zwierzyna innych jeszcze wrogów tępicieli, a tymi są drapieżne zwierzęta i ptaki, których rozmnażanie się jest następstwem nie małej na ten fakt obojętności wielu naszych gospodarzy. Słyszałem nieraz, jak w tym przedmiocie rozumują nawet myśliwi: co za głupstwo, powiada jeden, strzelać do lisa

w lecie, niech poczeka do zimy, wtenczas futro ma swoją wartość, to i naboju nie szkoda. Nadciąga jastrząb — to nie kuropatwa — nie ma z tego pociechy, mówi drugi, porywa się sowa, to też nie jadalne, szkoda prochu, dowodzi trzeci. Tem łatwiej przepuszczają się mniejsze drapieżniki, jakimi są borsuki, kuny, łasice, kobuzy, kruki i wrony. Czy w obec takiego rozumowania zastanowił się gospodarz myśliwy, ile te szkodniki zniszczą mu zwierzyny w ciągu roku i czy n. p. lis zrównoważy te szkody skórą swoją, której się tak rozumujący w zimie spodziewa? Nie mało także sprawiają zniszczenia włóczące się samopas psy i koty, które przy spotkaniu przez myśliwych strzelane być powinne (§. 33. przepisów o polowaniu). Jest bardzo wielu utrzymujących, że wrony są użytecznymi ptakami z tego względu, że idąc za pługiem zjadają wyorane pędraki. Czy jednak tym sposobem rola od pędraków jest oswobodzona i czy wrony czyniąc tę niby przysługę przez krótki czas orki równoważą tem szkody, jakie czynią niszcząc jaja kuropatw, przepiórek i wszelkiego drobnego ptactwa, zjadając przytem wylęgłe pisklęta a nawet starsze ptaki. (Dokończenie nastąpi).

Niższe łowiectwo u stóp Karpat wschodniej Galicyi.

Wspaniałe powaby przyrody różnego rodzaju dają odnogi Karpat, długie pasmo, które przechodząc mniej lub więcej w formacyę szczytno górską, przerzynają wschodnią Galicyę. Urocze doliny, z lekko wznoszącemi się wyżynami po obu stronach, idą w zawody z dziko romantycznemi grupami skał, śród których torują sobie drogę z szumem toczące się strumienie.

Każdy myśliwy z rozkoszą napawać się będzie tymi powabami, lecz one na długo nie wystarczą, mimowoli nasuwa mu fantazya urocze obrazy, jakich łowy w owych pierwotnych niemal lasach, gdzie niedźwiedź, ryś, wilk, górski dzik, siedzibę swoją mają, dostarczyćby mogły, gdyby tu hodowanie zwierzyny było możliwe, a owe rewiry nie były oddane na pastwę drapieżników. Znika dla niego wspaniałość przyrody, stanowi ona zaledwie podstawę do jego marzeń, oko jego i ucho zwrócone raczej ku życiu i ruchowi w lesie. Niestety zawodzi się on w swoich oczekiwaniach, szczególny to bowiem musi być ulubieniec Diany, kto z dobrym skutkiem w tych górskich ostępach poluje.

Lecz właściwie chciałem mówić o niższych łowach, wykazać ujemności w celu usunięcia ich. Musi mi przeto łaskawy czytelnik towarzyszyć w pochodzie od węgierskiej granicy ku wnętrzu kraju, gdzie większa mnogość ludności staje się powodem ustępowania wielkich zwierząt drapieżnych, gdzie lasy mniej są zwarte i jaśniejsze, pola uprawne — tam musimy się zatrzymać. Aby dać jasny obraz stosunków łowieckich, przedłożę wykaz ubitej zwierzyny z lat trzech, które w tych okolicach przepędziłem, przedtem jednak dam opis kraju, odnoszący się do łowiectwa.

Podstawę terenu tworzą faliste wzgórza, pagóry i góry, poprzecinane jarami i wyrwami wodnemi. Lasy, gdzie dostęp jako tako możliwy, jest zupełnie wytrzebiony. Rzadko gdzie rozlega się na jego miejscu grunt uprawny, karłowate krzewy jałowcowe i leszczyna wskazują owe miejsca, gdzie niezbyt dawno piękne rozścielały się lasy. Bezmyślne wycinanie drzewa nawet tam, gdzie z powodu niezwyciężonych zapór o sprowadzeniu jego ani myśleć można, i gdzie ono na miejscu gnije, wytworzyło wiele nieużytecznego gruntu, którego spożytkowanie jest wprost niemożliwe. Pozostałe lasy są przeważnie młode i dają sarnom wyborną ostoję. Znajdują one tu w osiczynie i leszczynie nawet w zimie dosyć pożywienia, i dzięki leśnictwom kameralnym, istnej skarbnicy zwierzyny, utrzymały się tu w wcale mnogiej liczbie. Z innego rodzaju zwierzyny trafiają się tylko pojedyńcze okazy, gorliwie prześladowane. Uprawa ziemi na podgórzu bardzo nędzna, wyssany grunt rodzi zaledwie lichy owies, a oziminy nader tu rzadkie.

Mój teren łowiecki obejmuje przestrzeń około 200 morgów młodego bukowego i szpilkowego lasu i tyleż morgów krzaków, używanych też na pastwisko dla bydła, resztę tworzą pola, jary i owe haniebne dla kraju krzewy jałowcowe. Zdobycz w zwierzynie wynosiła w r. 1881: 1 kozioł, 3 zające, 2 kuropatwy, 1 lis, 1 pies, 3 koty, 1 orzeł przedni, 4 jastrzębie, 1 kruk, 125 srok i wron. W r. 1882: 1 kozioł, 14 zajęcy, 2 słonki, 2 kaczki, 1 kurka, 12 gołębi, 35 przepiórek, 18 chruścieli, 4 kwiczoły, 7 lisów, 3 tchórze, 23 psów, 25 kotów, 1 orzeł, 37 jastrzębi, 1 czapla, 94 wron, 235 srok. W r. 1883: 3 kozły, 14 zajęcy, 3 kaczki, 8 gołębi, 5 chruścieli, 1 przepiórka, 2 kwiczoły, 1 borsuk, 6 lisów, 3 tchórze, 5 kotów, 4 psy, 4 orły, 24 jastrzębi, 1 kruk, 50 srok, 26 wron.

Prosty rachunek wiedzie nas do smutnego rezultatu, że na sto 100 morgów ledwo 1 zając przypada. Przyczyny takiego braku zwierzyny są różne, i mało gdzie składają się okoliczności tak nieszczęśliwie, aby łowy utrudnić, jak u nas. Przedewszystkiem myśliwi nie dają się zwierzynie rozrodzić, o hodowaniu jej prawie żaden nie ma pojęcia, a mimo ustawy łowieckiej zwierzyna uważana jest nie jako produkt użyteczny, lecz raczej jako wrogi przedmiot wyniszczenia. Jedynym, używanem tu sposobem polowania jest z psami gończymi, czy to w rozległych lasach, czy też w kilkumorgowych remizach. Nie potrzebuję zapewniać, jak szkodliwem jest dla zwierzostanu takie polowanie. Tak zwane psy gończe są nędzne kundysy bez śladu ułożenia, byle gonił wytrwale nazywa się dobrym, nawet psy wiejskie używane bywają do gonienia. Tak jak nie umieją myśliwi psów układać, tak też nie szanują granicy, i bywa to nie tylko cierpiane, ale nawet za rzecz naturalną uważane. Wejść też tu musi w rachubę próżność, dla jakiej panowie, aby mogli o łowach wiele mówić, dzierżawią polowania gminne, nie mając zmysłu myśliwskiego, ani też zamierzając komu innemu oddać polowania. Takie, że się tak wyrazimy, osierociałe terytorya łowieckie są wyższemi uczelniami kłusownictwa, nadużyć myśliwskich. Gdy nikt z uprawnionych o łowy się nie troszczy, to tem więcej jawi się nieuprawnionych, którzy za kieliszek wódki lub lichy jaki dar pozyskują od chłopów

zezwolenie urządzania polowań, na które gromadzą się powołani i niepowołani, byle posiadali jakąkolwiek strzelbinę. Z takiej to szkoły wychodzą nasi myśliwi. Nie mniej też do złego stanu łowiectwa przyczyniają się władze krajowe. Bogu wiadomo, z jakiego powodu umiał sobie lis zjednać względy Sejmu! Faktem jest, że temu zwierzęcemu łotrowi udzielono 6½ miesięcy ochrony, to też stał się on uprzywilejowanym rozbójnikiem. Przy ustanowieniu tego prawa nie wysilano się na mozolne przewidywanie, boć przecież musiałoby ono być w takim razie w innej formie ułożone. Dodatek do tego prawa brzmi zaprawdę jakoby usprawiedliwienie, ale tem złemu się nie zaradza. Treść jego taka: Tępienie lisów dozwolone jest tylko uprawnionym do polowania, mianowicie gdzie oni taką zwierzynę hodują, którą lis niszczy. Pomijając, iż ów punkt w kollizyi staje z §. 3. policyjno-łowieckich przepisów całej monarchii, to dodatek zawiera w sobie nieco niedorzeczności. W każdym razie należałoby myśliwstwu więcej przyznać znaczenia i nie uważać je jedynie jako okolicznościową rozrywkę. Starostwa nie stają należycie w obronie prawa i uważają każde myśliwstwa dotyczące podanie jako narzucony im niepotrzebnie ciężar. Tak np. nic się przeciw temu nie działa, gdy gminy swego polowania nie chcą wydzierżawić.

Nieracyonalne wykonywanie myśliwstwa wraz z innymi niekorzystnymi warunkami doprowadziły do tego stanu rzeczy, że więcej posiadamy szkodliwej, jak pożytecznej zwierzyny. Począwszy od wilka, który upędza się za sarnami, aż do łasicy, mordują czworonożne drapieżniki prawie bez przeszkody wszelką zwierzynę, z pomocą drapieżnego ptactwa. Zapytawszy którego z myśliwych, dla czego nic się przeciw temu nie działa i ani lisimi dołami, ani z zasadzki, ani z puhaczem się nie poluje, otrzymujemy odpowiedź, że w lecie futro lisie bez wartości, a ptaki są same myszołowy, wielce pożyteczne dla rolnictwa. W istocie nie znają oni uroku takiego polowania i nie mają cierpliwości i talentu do spokojnego polowania. W zimie panuje śród żyjących istot taka swoboda, że lisy za dnia myszkują w strzałowej odległości od drogi krajowej, w nocy z kurników chłopskich zdobycz wynoszą, a drapieżne ptactwo zmuszonem się widzi po sprzątnieniu w pewnej miejscowości ostatniego gołębia, wynosić się z okolicy.

Brak miejsc ochronnych jest główną przyczyną, że drapieżnikom dostaje się wielka część zwierzyny. Nędzne krzewy jałowcowe i skąpe krzaki tak są jasne, że przejrzeć przez nie można, a ponieważ nie mamy bujnych ozimin, to pola nie dają ani dostatecznej ochrony ani obfitego pożywienia. Na wiosnę też zasiewy tak się opóźniają, że kuropatwa zaledwie w połowie Czerwca znajduje w nich schronienie. Zresztą wszelkie miejscowości, któreby zwierzynie jako schronienie służyć mogły, używane bywają jako pastwiska i nie jeden miot zajęczy, nie jeden lęg kuropatwi pada ofiarą kopyt. Zwierzyna bywa nieustannie niepokojoną, a leśne podszycie, poobgryzane przez bydło, skazane na karłowaty rozrost. Naturalnie chłop też z swoim psem i kotem co może czyni w celu szkodzenia myśliwstwu, jednak ku chwale jego należy przyznać, iż czyni to raczej z niewiadomości, jak z złym zamiarem tem bardziej, że u niego ustaliła się zasada, że zwierzyna na jego gruncie jest jego własnością. Każdy zajączek, każde ptaszę, jakie tylko pochwycić może, zanosi do domu. Czego pan nie wytępi, to pochłania żołądek jego wyżej wymienionych towarzyszów, których po mojem przybyciu spotykałem na polach w dzień i w nocy. Dziwić się należy, że przy takiem postępowaniu ostatni zając jeszcze samobójstwem życia nie zakończył.

Podawszy w słabych zarysach przyczyny, dla czego nie mamy pożytecznej zwierzyny, wyrażam gorące pragnienie, by rychło u nas lepiej się działo.

(Jagd-Zeitung). *S.*

P. R. Nie zaprzeczamy, iż w wywodzie tym wiele znajduje się prawdy, wszelako musimy zaznaczyć, że wiele w nim goryczy i niechęci dla kraju, co zresztą zwykle w sprawozdaniach do niemieckich pism myśliwskich znajdujemy. Nie ma w nich wzmianki o usiłowaniach, jakie od lat dziesiątka krzewi się w celu poprawienia myśliwstwa krajowego, nie ma bezstronnego i sprawiedliwego poglądu na tę sprawę. Przykro wspomnieć, iż zwykle ludzie obcego pochodzenia, którzy niemal całe życie przepędzają w kraju, i żywią się dostatnio jego chlebem, tak mało mu są przychylni i nie przyznają nam zasługi dążenia do naprawy tego stanu rzeczy, jaki właśnie w skutek macoszych rządów ich plemienia w kraju naszym się wytworzył.

REB DUWID

przez

Alexandra Ubysza.

(Ciąg dalszy).

Myli się, kto sądzi, iż między żydami nie ma arystokracyi, jest ona i to nawet podwójna, stara rodowa i nowa kahalna tak zwana „morejne“. O ile mi wiadomo, najstarszymi pomiędzy żydostwem całego świata są Kohnowie i Lewitowie, wywodzą bowiem ród swój od arcykapłanów, którzy sprawowali urzędy swoje w chwili zburzenia Jerozolimy i upadku narodu żydowskiego. Kohnowie i Lewitowie czyli Lewinowie są wszędzie ludzie bogaci. Nieraz który potomek tego rodu upadnie pod względem materyalnym, wtedy społeczeństwo żydowskie wspólnemi siłami go dźwiga. Nie wiele jest spokrewnionych rodzin z owymi wysoce arystokratycznymi rodami, bo one tylko między sobą łączyć się zwykły, w nader rzadkich tylko wypadkach z rodzinami morejnych, nigdy zaś z gminem. Do tych wysokich rodów zalicza się także kasta Rabinów, do której należy Duwid. Członek tej kasty choćby łachmanami okryty tytułowany bywa „Rebbe“ (światły), co jest dostojeństwem raczej kościelnym, a mniej znaczy od Le-

wich i Kohnów, bo pochodzi od kapłanów niższych stopni. W hierarchii kościelnej stopień ten ma wielkie znaczenie, pod względem społecznym nader małe, chyba że jak n. p. rabin Bełzki, Sadogórski i inni rozumem swym, a często sprytem wynieśli znaczenie swoje poza mury synagogi do kahału, siedziby uznanej przez żydów świeckiej władzy, przed którą drzy tak ubogi jak i możny. Kto nie pochodzi w prostej linii z Rabinów, kto nie jest z rodu Rebbem, nawet w dzisiejszych postępowych czasach rabinem nie zostanie. Duwid pochodzi z Rabinów w odległej czy bliskiej linii, tego nie wiem, to jednak pewne, że należy mu się tytuł Rebbe, wiele znaczący w synagodze, żadnych jednak nie dający prerogatyw poza murami jej. Rebbe nie mający wrodzonego sprytu do szacherek, będzie tak jak Duwid biedował w lichej karczmie. Duwida w pierwszej jego młodości chciała rodzina zrobić uczonym, następnie rabinem, ale się to nie udało, Duwidek mimo szturchańców belfera zaledwie nauczył się czytać. Talmud nie lazł w głowę chłopca przemyśliwającego, jakimby to sposobem wymknąć się z chajderu i pobujać z chłopcami wiejskimi.

W dzieciństwie, jak sam opowiadał, był pierwszym między chłopcami wiejskimi w wspinaniu się na drzewa, czego, jak pan sam widziałeś, złożył świetne dowody w Ostobużu przy miodobraniu. Podrosłszy nieco jął się wzgardzonej przez żydów pracy około roli, z wielkiem zgorszeniem współwyznawców. Rodzice pragnąc oderwać Duwidka od pokus wiejskich oddali go na naukę „szkolnikowi“ synagogi w Bełzie. „Pop swoje, czort swoje“, mówi ruska przypowieść, szkolnik nuka z Duwidkiem księgi mądrości, a on pomimo „zeców“ (kuksów) pod żebra hebes nic się nie uczy. Sam wielki rabin Bełzki swoją wymową i położeniem ręki na głowę tępego czy krnąbrnego ucznia nie mógł zeń zrobić uczonego. Uradzono tedy ożenić 18-letniego Duwida z starszą od niego, lecz z sprytnego rodu pochodzącą Chaną. Po odbytych „posiedzinach“ rok jeden u rodziców żony, a drugi u męża, osadzono nie mającego sprytu nawet do szacherki Duwida w zaarendowanej dla niego karczemce „na Zielonej“. Duwid trudni się obecnie gospodarstwem rolnem, dzierżawiąc kilkadziesiąt morgów roli od okolicznych wieśniaków, a gospodaruje dobrze, wszelkie roboty wykonując najczęściej sam. Pani Chana szynkuje wódką, szachruje i ujada się z mężem, który dawszy za wygraną ucieczką w pole z pługiem lub kosą, a często ze strzelbą, do której go zaprawiłem, salwuje uszy swoje od gdakania swarliwej swej połowicy“.

Leśniczy skończywszy opowiadanie o Duwidzie, zdjął z kołka trąbkę wiszącą w sieni, zatrąbił jakoś dziwnie, niby psiem wyciem lub przeciągłem wej! wej! wej! i zapewnił mnie, że wkrótce pojawi się Duwid, jakoż nie omylił się, niebawem zjawił się Duwid z pośpiechem widocznie wielkim, bo mimo jesiennego chłodu nie zarzucił na siebie nawet chałata, tylko jak stał, w swej długiej po bokach niezszytej kamizeli (cyces), dzwoniącej niby trokami, z nici białych sporządzonymi, w pantoflach na nogach, innego bowiem obuwia jako prawdziwy „chassidim“ nie nosił. „Duwid! — rzecze do niego leśniczy, pojutrze u nas polowanie, będziesz na niem?“. — Żyd spuściwszy głowę, zamyślił się nieco, wertując zapewne w pamięci, czy nie przypada w tym dniu jakie szkolne święto, wreszcie odrzekł: „Budu“. Duwid obcując od dzieciństwa z ludem mówił po rusku płynnie, nie chlipiąc i nie charkocząc, jak to czynią zwykle żydzi, po polsku mówił źle, więc na wszystkie moje i leśniczego zapytania odpowiadał po rusku.

Zanim w odpowiedniej porze zaznajomię czytelnika z czynami łowieckimi Duwida, określę jego powierzchowność. Postać zewnętrzna charakteryzuje duszę człowieka, jego usposobienie moralne. Postać Duwida była zaprawdę niezwykłą. Orli nos jego, usta wydatne, szerokie, oczy czarne, wypukłe, u Duwida wyjątkowo bez wyrazu chytrości, w dodatku płeć śniada, włos brody i pejsów sam przez się kędzierzawiący się, wybitnie wskazywały pochodzenie jego. Wzrostu był średniego, muszkularny, co świadczyło, że dzieciństwo nie spędził nad talmudem lub na szacherce. Duwid był typem człowieka, który żyje na wolnem powietrzu, wystawiony na jego zmiany. Nieznający tak jak ja przeszłości jego, wziąłby go za przemytnika lub złodzieja końskiego, których w okolicach tych, graniczących z Kongresówką i Wołyniem, między żydami było pełno.

Duwid po tem zaproszeniu na polowanie wrócił do karczmy, zapewne w celu przygotowania się do niego. Leśniczy rzekł: „Duwid żeby się wykraść z domu na to polowanie, okłamie niezawodnie żonę i powie, że ja go w tym dniu wysłałem do którego z pobliskich miasteczek w interesie handlowym, bo na polowanie trzymająca go w ryzach bałbusta nie puści. Taki „pantofel“ u żydów jest niezwykłym, takim wszakże jest Duwid. Od pierwszej chwili swego ożenienia się z brzydką i starą Chaną w srogie u niej popadł poddaństwo. Poznawszy, że usposobieniem swojem wyrodził się od charakteru żydowskiego, zaprawiałem go do strzelby. Karczma ta stoi samotnie w głębi lasów, przy drodze dziadowskiej raczej nie biskupiej, nawet od mojej leśniczówki dosyć oddalona, toż przed mojem tu przybyciem włóczęgi i rabusie często napadali na arendarzów tej karczminy. Duwida nauczyłem władać bronią palną i ona go chroni od napaści. W krótkim czasie celnie strzelał w biegu i w lot, a ostateczny egzamin zdał na własnej jarmurce, która od trafnego jego strzału, poszła w szmaty. Dziś, jak się pan przekona, rzadko pudłuje. Tylko ze względu na bezpieczeństwo toleruje żona jego dubeltówkę w domu, sprzęt, tak zwykle wstrętny dla żydów. Z zasady nie uzbrajam gajowych w broń palną, bo ona czyni z nich kłusowników, więc Duwid tylko jest moim pomocnikiem w tępieniu wszelkiego gatunku drapieżców. Z niezmiernym zapałem bije jastrzębie, puhacze, nawet wrony, ostatnie prześladuje także w gniazdach, wspinając się na drzewa i wybierając je. Ptactwo drapieżne tępimy przez rok cały, lisy zaś, wilki, kuny, wydry, dziki dla skór i mięsa w stosownej porze, a wszelki łup z zwierzyny drapieżnej jest według umowy moją własnością. Zbywcą skór i mięsa jest Duwid, bo tem sam się zajmować nie mogę. W początku trudnił się tem Charaton, ale później lubo najrzetelniej tę funkcyę pełnił, uwolniłem go od tego obowiązku. Pewnego roku wyprawiłem Charatona z znacznym zapasem skór do Żółkwi. Charaton naładowawszy jednokonną furkę pojechał. Minął tydzień cały, nie wraca, pomyślałem, że pieniądze przehulał i przepił, konia i wózek sprzedał i ruszył w świat. Jadę tedy sam do Żółkwi, gdzie wnet znalazłem Charatona, który mi padł do nóg i począł jęczyć i przepraszać, że przepił wszystko swoje, ale mego nie naruszył, bo konia, wózek i grosz mi wiernie oddał. Odtąd sam się od wszelkich wypraw handlowych wypraszał, więc Duwidowi tę

sprawę oddałem i mogę mu przyznać, że wbrew zwyczajowi żydowskiemu rzetelnie mi służy“.

Najwcześniej, bo w przeddzień polowania przybył Onufry Poraj, co nas wszystkich trzech szczerze ucieszyło. Pana Onufrego poznałem i serdecznie pokochałem dzieckiem jeszcze będąc, jako wierny bowiem przyjaciel mego ojca często odwidzał on go pod Lwowem. Bywało nawet czasem, że ojciec mój zmuszony z powodu różnych interesów na długi czas wydalić się z domu, pozostawiał pana Onufrego na gospodarstwie i jako opiekuna małych podówczas dzieci. Toż całe moje rodzeństwo w wdzięcznej pamięci przechowuje wspomnienie o tym zacnym, łagodnym i wykształconym człowieku. Obok wielu cennych cnót, był on pasyonowanym myśliwym z chartami i ptasznikiem. Nie wiedząc wcale o mającem się odbyć polowaniu w lasach Bełzkich, przyjechał, by wspólnie z Charatonem, również dobrym ptasznikiem, „chwytać“ ptaki na sieć, potrzask, lep, sidełka. Przywiózł z sobą wszelkie ptasznicze przybory, sieć tak zwaną połę i cały słój lepu ptasiego. Nie tracąc czasu we trzech, bo Charaton pozostał w leśniczówce, dla przygotowania wszystkiego na przyjęcie licznych gości, t. j. leśniczy, p. Onufry i ja wyruszyliśmy z rozjazdem na Tehlowskie pola na przepiórki, biorąc z sobą i połę w celu zastawienia jej na drobne ptaszki, gdy jesienią około godziny trzeciej po południu poczną przed udaniem się na nocleż żerować. Ja i leśniczy poszliśmy „do rańtucha“ t. j. nieśliśmy rozjazd w kupę czyli rańtuch zebrany, by w razie, gdy wyżlica wytropi i stanie, rozpuściwszy rozjazd pokryć nim przepiórki. P. Onufry z płócienną torbą przez plecy, kierując swoją wyżlicą Astrą, kroczył za nami. Połów był niezły, w przeciągu kilku godzin pokryliśmy kilkanaście przepiórek. Potem ja z p. Onufrym zastawiliśmy połę w pobliżu lasu, a leśniczy poszedł z Astrą na przepiórki i kuropatwy. Było to po zupełnym już sprzęcie zboża w polu jakoteż konopi po ogrodach. U skraju lasu, należącego do Bełza, stała chata leśnego, a przy niej płynął mały strumeczek. Pan Onufry zauważył, że to wyborne miejsce do wystrugania „toczka“. Więc na przynętę wziąwszy u żony leśnego kilka snopków konopnych, rozstawiwszy je okrakiem na wystruganej ziemi, co się toczkiem nazywa, zastawiliśmy połę w pobliżu strumyka przy sadku śliwowym. Najlepszą porą do chwytania drobnego ptactwa jest wczesny ranek lub godziny przedwieczorne, bo w tej tylko porze drobne ptactwo żeruje. Inna pora nie jest dogodną do chwytania tej zwierzynki, bo wtedy ptaki napojone i syte zasiadłszy w gąszczy wypoczywają po wielkich trudach szukania żeru. Wszelkie nastawianie samołówek najlepszem jest w pobliżu wód, tam niezawodnie ptactwo ściągnie całą chmarą, stadem, ujrzawszy przynętę i rzuci się na nią.

Zastawiwszy połę, ukrywszy się poza płotem, okalającym ogród, czatujemy, gotowi w każdej chwili zaciągnąć sieć i pokryć ptaszki, gdy przynętę obsiędą. Obeszło się bez praktykowanych wabików, zastępowałem je wybornie naśladując głos czyżów, dzwońców, sikor i gilów. Ponieważ olszyna była w pobliżu, a to ulubione miejsce czyżów, więc wabiłem je głównie. Wabię tedy aż mi w gardle wyschło, ale też nie bez skutku, duża bowiem chmara czyżów nadciągnęła z pól w celu napojenia się u ruczaju, a następnie na nocleż w olszowych zaroślach. Wpadło to hurmą na przynętę, całą rzeszę pokryliśmy pociągnieniem sznura około dwóch kóp (ptasznicy liczą ułowione ptaki na kopy, mniej jak pół kopy zowie się „kapką“). Wszystkie ptaki miały być poduszone, ale mi ich żal było, więc niby z niezręczności, wiele puściłem na wolność, czem p. Onufry wielce się gorszył. Czyżyki jakkolwiek drobne w smaku lepsze nawet od trznadli, najgorsze stare wróble, mają bowiem smak gorzkawy, a po zjedzeniu kilkunastu takich wróbli czuje się jakieś pieczenie w gardle. Czyżyki, trznadle, sikory i inne drobne ptaki, na rumiano usmarzone, mogą być spożywane nawet z kosteczkami, bo są kruche, przeciwnie kosteczki wróbla są twarde i trudne do strawienia. Potrzeszcze wyborne są w pasztecie, na rożnie pieczone lub smażone nieco twarde.

Po kilku jeszcze zaciągach z dobrym skutkiem siecią, rozpierzchły się stada ptasząt w głąb olszowych zarośli na nocleż. Powrócił leśniczy ubiwszy kilka chruścieli. Obłowieni obfitym łupem, ciemnym już zmrokiem ruszyliśmy ku leśniczówce. Las był gęsty i ciemny, łatwo było zbłądzić, ale nie pod wodzą takiego przewodnika jak Czajkowski, który posiadał nadzwyczajny dar orjentowania się. Posiadam i ja ten dar i posługiwałem się nim w moich wędrówkach po górach ziemi Sanockiej, ale nie w takim stopniu. Gdy firmament olśniony księżycem lub zasiany gwiazdami jasno świecącemi, lud nasz orjentuje się, jak żeglarze morscy w starożytności, według gwiazd, według „kwoczki“ „kosarza“ „wozu“ lub „wieczornicy“, lecz w ciemnej zupełnie nocy chyba instynktem się kieruje. Przed laty przez dłuższy czas bawiłem w górach Sanockich, po dniu w nieznanych nawet stronach nie potrzebowałem przewodnika. Pewnego razu wybrałem się dla odwidzin i wypożyczenia książek do czytania pieszo do wsi Wydrnego. Drogą było opętanych dwie mile, ale przez górę „Otryt“ zaledwie pół mili. Znając dobrze drogę puściłem się ku Wydrnemu, a było tych dróg przez Otryt, śmiało rzec można, ze sto, czy tędy czy owędy można było wybrnąć z tego labiryntu bądź do osady szlacheckiej Seredniego lub do przysiółka wsi Olchowca, a ztamtąd przez działy do drogi ku Wydrnemu wiodącej. Pogawędziwszy czas jakiś z p. Antonim Popielem, właścicielem Wydrnego, sporo obroku duchownego w postaci dzieł polskich w torbę nabrawszy, mimo protestu gospodarza ruszyłem z powrotem do domu. Do zachodu słońca było jeszcze daleko, więc ufny w swoje nogi i dar orjentowania się szedłem ku Otrytowi. Był miesiąc Sierpień, pogoda stała, księżyc w pełni, więc cóż mi się stać mogło, choćby mnie na środku Otrytu noc zaskoczyła. Ruszam tedy na Olchowiec, bo tędy najbliżej i zagłębiam się w ciemny, świerkowy las, do samych niemal budynków folwarcznych przytykający. Nie bardzo byłem pewny pogody, bo koniki polne „strzygły“ grając swą pieśń wieczorną. Mniejsza o deszcz, jeżeli mnie po drugim nadsanowym stoku Otrytu zachwyci, wszak do Krywych niedaleko. Upłynęło sporo czasu, dobrze się już nawet zmęczyłem, a tak zwanych „Smalonych buków“ nie widać. Słońce się już skryło w stronie Węgier i zmrok począł szybko zapadać. W kwestyi wieczornych i porannych zmroków nasze górskie okolice podobne nieco do krain podzwrotnikowych, w których, jak wiadomo, nie ma powolnego przechodu zmroku w noc lub tejże w poranek. W alpejskich i wysoko górzystych okolicach naszych oba te przechody następują szybko, zaledwo słońce skryje się po za wysokie grzbiety łańcucha gór, już noc się rozściela, gdy po stronie, gdzie słońce zapadło, dzień jeszcze jasny. Tak też się dzieje ze wschodem

słońca, dobrze ono świeci już na dołach, równinach, gdy w głębi gór ciemno jeszcze, aż wysoko na zenit wypłynie i naraz dzień uczyni. Po długiem krążeniu po ścieżynkach, na samym szczycie wysokiej góry zjawiła się nagle dość gęsta mgła. Dobrałem się wreszcie, nie, jak się spodziewałem, rzeki Sanu i wsi Tworylnej, nad nim po drugiej stronie stoku Otrytu leżącej, lecz znalazłem się przy Olchowcu. Nocować nie chciałem. Gazda proszony o przewodnika dał mi wyrostka, o którym wyrzekł: „Mudryj, szczo ałe, i sered noczy czerez Otryt trafyt“. Ruszam tedy za nim, śmiało, jakby w nurty rzeki rzucamy się w mgłę gęstą wąską ścieżyną, kilka razy ja i mój przewodnik potknąwszy się padliśmy, to czapkę w gąszczu gubimy, to znowu gałęzie chłoszczą nam oczy. Mówię ja chłopcu: „A de ty mene wedesz chłopcze, a może ty majesz „kurku“. — „Taże maju panciu“ — odpowiada. Co to kurka, wyjaśnię. Lud nasz wiejski w miesiącach letnich doznaje dziwnego rodzaju choroby wzroku, ślepoty, skoro słońce się spuści. Jak ptactwo w ogóle, więc i kury domowe, po zachodzie słońca nic zgoła nie widzą, tak i wielu z ludu naszego, osobliwie pasterze z nadejściem wieczora, niektórzy nawet śród najjaśniejszej, księżycem oświetlonej nocy, wcale nie widzą. Według zdania lekarzy choroby tej doznają włościanie z powodu nie spożywania mięsa lub ścisłego zachowywania nakazanych przez kościół postów. Sądzę, że twierdzenie to jest mylnem. Badałem tę chorobę na własnych moich sługach, którzy zawsze dostatnie, a w porze nie postnej mówiąc po ludowemu „masno“ byli żywieni. Furman, karbowy i słudzy pokojowi nie doznawali owej kurzej ślepoty, tylko pastuchy i parobcy. Z jakiejże to przyczyny? Pasterze i w ogóle ludzie prości, pasąc inwentarz lub spoczywając w południe, mają zwyczaj w nieocienionych miejscach do snu się układać. Promienie słońca często prostopadle na przywarte powieki padając, rażą nerwy wzrokowe, z czego powstaje osłabienie takie, iż w czasie mglistego dnia słabiej, a po zachodzie słońca wcale nie widzą. Czy istnieje lekarstwo, usuwające tę chorobę — tego nie wiem. Lud twierdzi, że „peczinka“ (wątroba), ale tylko z czarnego zwierzęcia, ugotowana w nowym garnku, gdy chory nad parą dobrze oczy naparzy, głowę starannie okrywszy, a potem spożyje ową wątrobę, ślepotę zupełnie usuwa. Wielokrotnie, a zawsze bez skutku, robiłem takie doświadczenie. Ślepota ta dopiero w późnej jesieni, sama ustępowała.

Odkrycie, jakie zrobiłem na moim przewodniku w nocy, śród przepaścistych i szczytnych gór, nie mogło być przyjemnem. „Wam gazda ne waryw (mówił), szczo ja maju kurku“? — rzekł chłopak nastraszony, widząc mnie rozgniewanego. Wybrnąwszy z gąszczy, wyszedłszy na jakąś polankę, postanowiłem nocować. Suto roznieciwszy ognisko ułożyliśmy się przy niem. „Szczob ino ne wowky, wczera wziały odnomu gazdi jahnyczku“ — rzecze chłopiec. Dobra perspektywa, pomyślałem, a ja nietylko strzelby, ale nawet dobrego kija nie mam pod ręką. Gęsta i wilgotna mgła zmoczyła nam odzienie, osobliwie moje lekkie, rozgrzane przy ognisku, kurzy się, głód mi dokucza. Dla zabicia czasu rozpoczynam gawędkę z chłopcem, który jakkolwiek mały, pykał ze swej „nosohryjki“, fajeczki na króciutkim cybuszku, którą nałożoną wilgotnym tytoniem naprzód mocno rozgrzał w żarze ogniska. — „A szczo ty robyw wczera?“ — „A stryżyki (jagnięta) pas“. — „A hołodeneś?“ — „Taże!“ — „A twij gazda mysływyj?“ — „Nit, ino susid łowyt w stupci, szczo sia nadaśt, najlipsze kunyciu, bo żyd w Lutowyszczach (miasteczko Lutowiska) „na jary“ (wiosnę) daśt za skirku i „fasku“ (ćwierć korca) wiwsa.“ — „Spiwaj“ — mówię mu. Po małym oporze począł donośnym głosem wyciągać: „Hyra! hyra! hoń upyra! dam te syra!“ — „A szczo to za spiwanka?“ — „Ot łeboj, aby szczo i szczob po noczy łycha upyra widohnaty“. Lud gór sanockich pieśniami słynie, treści w ich spiewkach nie wiele, więcej smętnych jakichś przeciągłych tonów, bez tyrolskiego jodlowania jednakże. Nazajutrz, skoro się rozwidniło, odprawiwszy mego niefortunnego przewodnika, ruszyłem ku domowi, kierując się przeważnie w pochodzie biegiem wód potoków, które wszystkie pędzą ku Sanowi, a skorom do niego doszedł, to już droga była pewna.

Czem się kierował leśniczy Czajkowski w czasie naszego powrotu z owych ptasich łowów, nie wiem, dość, że po godzinnym pochodzie stanęliśmy przy karczmie rezydencyi rabinowicza Duwida. Wstąpiliśmy do niej, wszedłszy bez hałasu, mimowolnie staliśmy się świadkami sceny małżeńskiej. Pani Chana, brzydka jak noc jesienna, czyniła piskliwym i prędkim głosem jakieś wyrzuty Duwidowi, zapatrzonemu na wiszącą na ścianie strzelbę. Gęsto tam lały się z niepowabnych ust bałbusty słowa: „*a rychenże, szpuk dyr in punem*“ (twarz) i tym podobne. „Jutro pojedziesz Duwidzie do Uhnowa za moim interesem“ — przemówił leśniczy. „*A siste*“ — rzekł do żony z tryumfem Duwid. „Nu, proszę pana — odrzekła Chana — ja myśliła, co wun bresze, jak nieraz, kiedy chciał iść na polowanie; na co jemu to, wun żyd, niech geszeftu pilnuje, już i tak insze żydy z niego się wyśmiewają, co on myśliwec“. Leśniczy aby rozbroić niewierną niewiastę, pożyczył dubeltówkę u Duwida dla gajowego i tem burzę uśmierzył. Zabrał z sobą Duwida w celu dania mu poleceń.

(Dokończenie nastąpi).

KORESPONDENCYE.

Ostatnich dni Stycznia zmarł w Stryju Edward Hosz, do ostatka sił i zdrowia wierny sługa św. Huberta. Tym, którzy go znali, zalety charakteru jego cenili, a swobodnemu, wesołemu i całkiem oryginalnemu humorowi jego niejedną wesołą chwilę zawdzięczają, pozostała po nim próżnia, której nikt nie zapełni, zacnych i miłych znajdą wielu, ale tak oryginalnego niema z pewnością. Poczciwa ta ziemia nasza musi być jednak dobrą matką karmicielką, posiadającą wiele warunków bytu, mimo rozlicznych extyrpacyj na jej ciele przedsiębranych, kiedy tak ma ogromną siłę przyciągającą, że rody przybyłe w jej progi choćby były całkiem obce, w ciągu lat kilkudziesięciu stają się polskimi. Nieznam genealogii ś. p.

Edwarda, ale to wiem, że choć czasem łamał język polski, był w głębi serca do ziemi, na której zamieszkał, przywiązanym, w przekonaniach swoich dobrym a często gorącym obywatelem kraju i że na nim polegać można było jak na Zawiszy we wszystkich tych wypadkach, gdzie honor kraju na szali miał zaważyć. Za młodu żołnierz w armii austryackiej, później osiadł w Stryjskiem w Pukieniczach, majętności nabytej przez siebie i oddał się gospodarstwu rolnemu; jak gazdował, dowodzi wzajemny stosunek, który go łączył z gminą. Ufność i szacunek ludu wiejskiego, pośród którego się mieszka, to podobno najzaszczytniejsza gałązka w wieńcu zasługi obywatelskiej ziemianina, a tę on posiadł w zupełności. Kiedy znużony a może zniechęcony trudnościami zawodu sprzedał wioskę, żal Pukieniczan za nim odezwał się ogólny, a niebyło prawie dnia targowego, ażeby ktoś z chłopów pukienickich nie odwidzał go w jego domu w Stryju i ten stosunek był trwałym aż do ostatnich chwil życia ś. p. Edwarda. Legat kilku tysięcy złr., które w testamencie przekazał na rzecz gminy Pukienickiej, z którą go już żaden interes materyalny nie wiązał, najlepiej dowodzi, jak czuł pięknie i szlachetnie zadanie i powołanie obywatela.

Wytrwały i doświadczony myśliwy, dzielny strzelec, humorem i facecyami rozweselić był zdolny największego sensata; sypał je jak z rękawa, a styl, intonacya, nawet mimika były tak oryginalne, że kopji nikt nie odtworzy. Dużo z ś. p. Edwardem polowałem i byłem nieraz świadkiem pięknych strzałów zwłaszcza do grubego zwierza, ale nigdy blagi, nigdy zarozumiałości w tem rzemiośle u niego nie dostrzegłem i dlatego był tak miłym towarzyszem na polowaniu. Pamiętam jak raz u mnie na wąskim przerembie strzelił na znaczną odległość grubym śrótem (zwał go rampakami) do wilczycy, która w drugim miocie padła prawie nic nie farbując; gdy przyszedłem do niego, rzekł mi zafrasowany: „no trzymałem dobrze, ale za skutek nie ręczę, każdy chybić może“ i to była zwykła odpowiedź i zwykle też zwierz strzelony znajdował się, bo strzelał dobrze, a nie blagował wcale. W górach niejeden piękny dzień z nim przeżyłem, a niejeden także wieczór wesoły, któż z towarzyszy nie pamięta dykteryjki „o Bismarku i kamieniu grobowym“? Z zamiłowaniem układał swoje wyżły i doprowadzał je do doskonałości niesłychanej w tresurze, ostatniemu, jak przyjacielowi zostawił także fundusz dożywotni na utrzymanie w testamencie, ciekawa też rzecz, kto zapłaci podatek od tego legatu? Dużo dałoby się jeszcze napisać dla wspomnienia towarzyszom tej sympatycznej, poczciwej postaci pół wojskowego, pół gospodarza, a całą duszą myśliwego humorysty, może znajdzie się kto ze zdolniejszem piórem, ja mało się z niem spotykając i tylko z konieczności, miałem sobie za obowiązek, wspomnienie o ś. p. Edwardzie przesłać do Łowca. Jemu tam postępującemu dziś w szeregach św. Huberta miło zapewne będzie widzieć, że ci, co z nim żyli za życia, pamięć jego zachowują po śmierci, a pamięć, której się cześć należy za prawy i uczciwy żywot.

Sniatynka 12. Lutego 1888.

Stanisław hr. Tarnowski.

Derewnia, dnia 8. Lutego 1888.

Czytając sprawozdanie z obrad tegorocznego walnego zgromadzenia Towarzystwa łowieckiego, przyszedłem do przekonania, że wszyscy niemal członkowie tegoż zgromadzenia uczuli potrzebę częstszego znoszenia się Wydziału Towarzystwa łowieckiego z pojedynczymi tegoż Delegatami i żądali od tych ostatnich częstszych niż dotąd korespondencyj a raczej sprawozdań. Dowiedziawszy się dalej z kalendarza „Łowca“ na rok bieżący, że jestem także Delegatem na powiat Żółkiewski, biorę chętnie za pióro, by uczynić zadość powyższemu żądaniu.

To ogólne życzenie znoszenia się Delegatów z Wydziałem ucieszyło mnie bardzo, gdyż mniemam, że często może to dobrze wpłynąć na sprawy łowiectwa w kraju, a nawet sądzę, że Delegaci powinniby niejako utrzymywać Wydział w ciągłej ewidencyi tego wszystkiego, co się w ich powiatach dzieje, a co spraw myśliwskich dotyczy; — w ten tylko sposób mógłby Wydział Towarzystwa łowieckiego mieć ogólny pogląd na sprawy łowieckie w całym kraju, wiedziałby w jakim kierunku najwięcej jest braków, a więc w jakim najbardziej działać potrzeba i które powiaty szczególniejszą opieką otoczyćby należało.

Sprawa reformy ustawy łowieckiej tylostronnie była już obrabianą, że wszystkie zdaje mi się kwestye zostały już poruszone, ja chciałbym tylko wyrazić życzenie, aby nowa ustawa była tak jasną, by ją dokładnie zrozumiały organa powołane do czuwania nad nią, a składające się niezawsze z myśliwych i aby była jak najsurowszą. Mojem zdaniem półśrodkami nie dojdziemy nigdy do celu i jeżli nie weźmiemy się ostro do ludzi przekraczających ustawę łowiecką a przedewszystkiem do kłusowników i pokątnych handlarzy zwierzyny, to najpiękniejsza ustawa nie podniesie zwierzostanu w kraju; — chciałbym więc w nowej ustawie widzieć paragraf zakazujący wydawać przez długie lata kart myśliwskich i dzierzawić polowanie ludziom, którzy kiedykolwiek przeciw ustawie łowieckiej wykroczyli; — chciałbym, by kłusownik złapany czy to *in flagranti*, czy też taki, któremu kłusownictwo dowiedzionem zostało, prócz kary lub grzywny, którą mu nałoży sąd, postradał bezwarunkowo broń i raz na zawsze prawo do karty myśliwskiej, do dzierżawy polowania i do karty na broń (waffenpaas), jeżeli takową kiedy posiadał; — chciałbym dalej, by nowa ustawa wzięła w specyalną opiekę pokątnych handlarzy zwierzyny, tę istną plagę wszystkich naszych małych miasteczek. Wiadomo Panom, że chłop nasz rzadko zje zająca lub kuropatwę zabitą, lecz najczęściej zaniesie je do Icka, Lejby lub Mendla i odda mu je za parę kieliszków wódki i kilka centów, — ten zaś zaniesie zwierzynę do najbliższego miasteczka, gdzie pomiędzy intelligencyą miejską znajdzie zawsze chętnego nabywcę, który wie wprawdzie doskonale, że to rzecz kradziona, kupi ją jednak przecież bez skrupułów. Czyby szanowny Wydział nie mógł wyjednać u wysokiego c. k. Namiestnictwa, by takowe wydało okólnik do wszystkich Panów Starostów wzywający ich do zwrócenia bacznego oka na tych handlarzy, a szczególnie do użycia całego swego wpływu na to, by takowi nie znajdowali odbiorców na swój towar?

Z radością powitałem projekt ankiety łowieckiej, by z opłat za karty myśliwskie utworzony był osobny fundusz na cele kultury myśliwskiej; jedyny to racyonalny cel użycia tych pieniędzy, sądzę jednak, że prócz premij za ubicie szkodników, należałoby dawać premje tak żandarmeryi jak i prywatnym osobom za wyłapywanie najniebezpieczniejszych kłusowników, za wyśledzenie pokątnych handlarzy zwierzyny, a nawet wyjątkowo za powiadomienie Delegatów o rażących faktach przekroczenia ustawy łowieckiej. Podobne premje mógłby przyznawać Wydział Towarzystwa łowieckiego na propozycye Delegatów.

Ankieta łowiecka miała zamiar skrócić czas polowania na kuropatwy, — projekt ten bardzo trafny, nie wątpię, że w nowej ustawie znajdzie zastosowanie. Zdaje mi się, że wię-

ksza część myśliwych przyzna mi słuszność, jeźli powiem, że polowanie na kuropatwy, to jedno z najmilszych polowań. Mamy wszelkie warunki po temu, abyśmy z czasem doprowadzić mogli choćby tylko do połowy tej ilości, jaka jest w Morawie lub Czechach, a jak nam niestety jeszcze do tego daleko! — Jeden z Panów korespondentów Łowca proponował, aby zakazać strzelać kuropatwy na śniegu; myśl to bardzo dobra, lecz nie wiem, czy w praktyce odniosłaby pożądany skutek, gdyż podczas niestałej pory trudno skonstatować, czy kuropatwa zastrzeloną została na śniegu lub nie. Ja poszedłbym dalej i najchętniej zgodziłbym się na rozpoczęcie czasu szanowania kuropatw już z 1. Grudnia, a choćby nawet z 15. Listopada. Zdaje mi się, że przez trzy miesiące mielibyśmy dość czasu polować na kuropatwy, a gdyby kogo później korciło strzelać do kuropatw, chętnie zrobi z tego ofiarę, mając nadzieję zobaczyć je w liczniejszem gronie w roku przyszłym.

W końcu z bolem serca poruszyć muszę jeszcze jedną kwestyę, na którą już żadne ustawy nie pomogą, a która jest może właśnie głównym powodem naszej nędzy myśliwskiej w kraju; — jest nią zbyt małe zainteresowanie się sprawami łowiectwa ze strony właścicieli większych obszarów. W powiecie moim jest siedmdziesiąt kilka obszarów dworskich, na to jest kilkunastu właścicieli, którzy są prawdziwymi i dobrymi myśliwymi, kilkunastu znowu, którym wprawdzie polowanie nie jest niezbędnie do szczęścia potrzebne, którzy jednak jak wszystkie ustawy tak i łowiecką szanują; połowa jednak jest takich, którym sprawy łowiectwa są najzupełniej obojętne. Myśliwym nie potrzebuję opisywać, jaki jest stan zwierzyny w lasach, gdzie właściciel nie jest myśliwym, — wiedzą oni to dobrze. — Pytam się więc, czy można podnieść zwierzostan w kraju, gdzie tylko niektórzy ludzie o niego dbają, bo któż będzie stał na straży ustawy lasowej, kto będzie tępił szkodniki i kto karmił zwierzynę wśród tak ciężkiej zimy, jak n. p. tegoroczna, jeźli nie my właściciele większych obszarów?

Tadeusz Starzyński.

Trzydniówka. Zaczynam od polowania w Bereźnicy królewskiej, majętności Wnego S. Pawlikowskiego, które się odbyło w dniu 28. Stycznia b. r. W 4 miotach w przeciągu 4 godzin ubito: 2 dziki, 19 kozłów, 3 lisy, 22 zajęcy i 1 sowę uralską. Dodać jednak należy, że rezultat byłby o wiele świetniejszym, gdyby nie okoliczność, iż w pierwszym miocie, w którym stały dziki, strzelano do innej zwierzyny dopiero po strzale zapowiedzianym do dzika, w skutek czego co najmniej 10 kozłów, nie licząc innej zwierzyny, uszło z pod lufy bez strzału. Sprawozdawca wasz miał to nieszczęśliwe szczęście, czy szczęśliwe nieszczęście, iż w miocie tym przedefilował obok niego naprzód rudel sarn, składający się z 28 sztuk, następnie z 8, wreszcie z 7, miał więc na strzał rozpoznanych kozłów aż 9. Zważywszy, że defilada ta odbywała się w głębokim śniegu krótkim galopem, w dodatku trop w trop gęsiego, mógł więc zrobić co najmniej trzy dublety. Tak się jednak nie stało, albowiem dziki wyczekiwały do końca, a nawet na linią nie wyszły, lecz strzelał do nich w barłogu idący z nagonką leśniczy.

Świetne to pod każdym względem polowanie zakończyło się jeszcze świetniejszym balem, który opisało w „Dzienniku Polskim" godniejsze pióro. Ja więc tylko nadmienię ze stanowiska myśliwego, że akcya została przeniesioną z uroczej kniei do gościnnych salonów, gdzie miejsce leśnych tanecznic zastąpiły bardziej urocze dwunożne gazele, które pełnemi wdzięku pląsami dokazały tego, że bracia w Nemrodzie chcąc na nowo porównać wdzięk ich ruchów z ruchami leśnych baletniczek, pojechali do Sarn, majątku zacnego Marszałka Jaworowskiego powiatu, Wngo Adama Łuckiego. Tu ubito w jednym dniu w 10 strzelb 21 sztuk, mianowicie 1 kozła, 3 lisy i 18 zajęcy. Rezultat jak na tę knieję zbyt mały, a winą tego śniegi, w których nagonka i myśliwi, rzec można, topili się. Były to trudy godne wyprawy do bieguna północnego.

Lecz to wszystko za mało! Nienasyconą jest namiętność myśliwska. Hejże więc dnia następnego do Małnowa, do Wnego Czesława Trzecieskiego. Przyznać trzeba, że garstka prawdziwych myśliwych czyniła tu nadludzkie wysilenia, aby salwować honor wielbicieli Diany. Brnęła morzem śniegu wśród zadymki po debrach i jarach, kędy i ogar dziś nie przejdzie. Nie było między tymi pantoflami Diany ani jednego, któryby szemrał na losy nieprzychylne. Dzielny przewodnik tej wyprawy, jak ongi Mojżesz żydów po puszczy, tak on nas wodził po tej lisiej kniei, w której roku zeszłego sam w jednym dniu ubił 14 lisów, pragnąc i dla nas takiego duszy zbawienia! Atoli były to tylko dobre chęci łaskawego gospodarza. Lis tym razem myszkował w polu, w pobliżu chałup, wsłuchując się z lubością w miły dla jego ucha spiew kogutów, a zając siedział w kopnie śniegiem zawiany. W takich warunkach należało zapolować w sposób praktykowany na Saharze, gdzie jak mnie zapewniał p. Z., jest tylko piasek i lwy. Otóż Arabowie biorą przetaki, czerpią w nie piasek, następnie sieją, sieją, sieją, aż po przesianiu onegoż okazuje się na dnie przetaka — i to prawie zawsze lew! a czasem i — cała karawana!!... W ten sposób przesiewając śnieg, bylibyśmy multum lisów i zajęcy złowili, gdy tymczasem padł tylko 1 kozioł i 9 zajęcy. Mimo to fantazya i humor górowały nad niepowodzeniem. W gościnnych progach miłych gospodarstwa zapomniano o przebytych trudach. Z całej zaś trzydniówki pozostało najmilsze wrażenie i wdzięczność dla wszystkich w tej relacyi pomienionych łaskawców.

S. Krog...

Było to w roku 1858, wracałem ze Szczawnicy i wstąpiłem do Wojnicza. Była to pora, w której co roku odbywały się liczne polowania, z wielkim udziałem nie tylko sąsiadów, ale i z dalekich stron kraju przyjaciół i znajomych. Któż nie zna i nie chowa w wiernej pamięci gościnności tego wybitnie polskiego, zamożnego szlacheckiego domu i jego wówczas powszechnie kochanego gospodarza, dla ogólnej miłości, jaką posiadał, zwanego „kochanym Władziem", do końca życia wesołego humoru, który go nigdy nie opuszczał, a nawet tej jego czapeczki, zawsze na bakier noszonej?

Otóż tam zastawszy towarzystwo liczniejsze, jak zwykle bo składało się nie tylko z wielkiej liczby myśliwych, ale też z wielu pięknych pań, bawiłem się doskonale, gdyż każdego dnia tańczyliśmy do późna wieczorem. Ostatni dzień polowania zakończył się świetnym balem, danym na cześć goszczącego tam generała Skrzyneckiego z żoną i córkami, a podobno także dla księcia Witolda Czartoryskiego, bawiącego podówczas w Gumniskach.

Wszystko to przyjemnie zapisało się w mojej pamięci, jednakowoż konfuzya, jaka mnie tam spotkała, stała się jeszcze pamiętniejszą. Cóż powiecie na to panowie myśliwi — słonkę zabiłem na drzewie. Siedziała ona na smereku czy jodełce. Wypadek ten, który mnie w oczach myśliwych uczynił kłamcą, nieznany w annalach myśliwskich, pragnę opisać.

Myśliwym nie jestem, a wówczas mniej nim jeszcze byłem. Przyznawać się do tego wtedy nie widziałem potrzeby

chętny brałem udział w tej rozrywce łowieckiej, trwającej prawie tydzień cały. Po kilku w pierwszym dniu fatalnie spudłowanych strzałach nic już na mnie następnie nie wychodziło, więc mimo miłego towarzystwa czułem w końcu nie tylko znużenie, ale też znudzenie. Ostatniego dnia stojąc na stanowisku, na którem z powodu pagórka nikt mnie dopatrzyć nie mógł, spostrzegłem na drzewie ptaka. Nie namyślając się długo, a nie dowierzając swemu strzałowi, dla większej jego pewności oparłem strzelbę o drzewo i długo mierząc wystrzeliłem. Strzał był celny, ptak spadł na ziemię, zbliżywszy się ku niemu poznałem, że jest zdobyczą dobrą, ale prawdę mówiąc nie wiedziałem jaką. Przytroczyłem ptaka do torby, a gdy spostrzeżono przytroczoną słonkę, ozwał się głos: „Mieliśmy go za fuszera, a on słonki bije, wysoko ciągnęła“? — „Dosyć wysoko“ — odparłem lakonicznie dla salwowania mego honoru myśliwskiego. Dopiero powróciwszy do domu, opowiedziałem moim znajomym, jak się rzecz miała, okrzyczano mnie kłamcą dowodząc, że słonka nigdy na drzewie nie siada. Próżne były moje zapewnienia, pozostałem w ich mniemaniu historycznym myśliwym, bijącym słonki na drzewie.

Wypadek ten jednak będzie zagadką, nie tylko dla mnie, ale też dla myśliwych. Czy ją postrzeloną i zawisłą na drzewie moim strzałem strąciłem, czy może mierzyłem do innego ptaka, a ona właśnie na strzał mój nadciągnęła i śmiertelnie ugodzoną została — nie moja rzecz sądzić, stwierdzam jedynie, żem słonkę zabił istotnie na drzewie, bo że do ciągnącej nie mierzyłem, to pewne, gdyż w takim razie w locie niezawodnie chybiłbym ją.

Czupernosów 30 stycznia 1888.

S. W.

Z nad Łomnicy!

W 1886 r. zawiązało się Towarzystwo myśliwych za inicyatywą księcia Adama Sapiehy, który wziął w dzierżawę polowanie w lasach rządowych należących do obrębu leśnictw: Niebyłów i Krasne i gmin graniczących z pomienionymi lasami w powiecie Kałuskim, co razem stanowi obszar 50,000 morgów blisko. Wewnętrzna organizacya Towarzystwa nie jest mi znaną, prócz tego, że książe Adam Sapieha jest prezesem Towarzystwa, które podobno składa się z 14tu członków, a hrabia Stefan Szembek jest gospodarzem i administratorem polowania. Dozór polowania powierzony Łowczemu i odpowiedniej liczbie straży. Tyle powiedzieć tylko mogę o organizacyi Towarzystwa, głównie mam zaś na celu opisanie miejscowej kniei i tutejszych stosunków łowieckich. Ten tylko może mieć pojęcie o wyniszczeniu zwierzyny w pomienionym wyżej okręgu tak rządowym jak i gminnym, kto dwa lata temu polował w tej miejscowości. Zarządzone polowanie próbne przez księcia Sapiehę, które trwało dni sześć przy licznej nagonce i nie złych psach na dziki, dało ten rezultat, że zabito jednego dzika, jednego rysia i jednego capa, można więc mieć pojęcie, jaki był zwierzostan. Nie zniechęciło to jednak księcia, który poznawszy knieję, słusznie wróżył jej lepszą przyszłość przy porządnej gospodarce. Knieje Niebyłów i Krasne zalecają się wszelkimi warunkami do hodowania zwierzyny, lasy podszyte, pełne młodych zapustów, położone na niewielkiej wyniosłości u podnóża karpat, obfitują w źródła słone i trawiste, halizny są jakby pastewnikiem dla zwierzyny górskiej, która tu schodzi szczególniej na czas kocenia się, bo i jelenie w lecie często tu przebywają, chroniąc się przed niedzwiedziem i rysiem w górach. Nie brak tu lasu bukowego, gdzie dziki znajdują pożądany żer dla siebie, jak również malinników, na które w jesieni niedźwiedź z gór schodzi, a wysysając owsy po polach, często tu kilka miesięcy jesiennych przebywa i nawet nie rzadko do pierwszego śniegu zostaje. Słowem jest to knieja, która się zaleca pod każdym wzg ędem, gdyby nie obfitość kłusowników i drapieżników, jak rysie, które od czasu do czasu zachodzą, lisy, kuny i mnóstwo jastrzębi, które jako nie przynoszące korzyści kłusownikom hodowały się swobodnie. Dodać tu jeszcze muszę, że i pasanie po lasach rządowych wielce się przyczyniło do rozpędzenia i wyniszczenia zwierzyny, gdzie pastuchy z psami grasowali po całej kniei, wybierając jaja cietrzewi i łowiąc psami młode sarnięta i zające. Prawdziwem więc dobrodziejstwem jest dla okolicy a nawet dla kraju wzięcie przez Towarzystwo pod dozór i gospodarkę miejscowości, która na tak wielkiej przestrzeni może podnieść zwierzostan i zasilić okolicę w zwierzynę, która tu bezprzykładnie była niszczoną, zwłaszcza że do Towarzystwa należy kilku nie tylko amatorów, ale wytrawnych myśliwych, jak sam książe Adam Sapieha, hrabia Stefan Zamoyski, hrabia Stefan Szembek, hrabia Stadnicki i wielu innych. Panowie ci mając na względzie przyjemność połączoną z pożytkiem, z pewnością nie zaniedbają niczego, coby mogło wpłynąć korzystnie na rozrost zwierzyny w tej okolicy.

W zeszłym roku w ostatnich dniach października czterech panów z Towarzystwa przybyło do Niebyłowa dla rozpatrzenia się w kniei, a w ciągu trzech dni polowania, któremu ciągła słota przeszkadzała, zabito sześć dzików, dwa capy i dwa lisy. Obecnie 6go lutego b. r. wzięło udział w polowaniu dziewięciu panów z Towarzystwa, polowano jedynie na dziki obtropione i wciągu dni pięciu zabito 15 dzików, jednego capa i dwa lisy, spokój więc tylko w kniei, a nie przyrost w ciągu ośmiu miesięcy. spowodował, że stan zwierzyny liczebnie się podniósł, jest więc nadzieja, że za lat parę będzie tu jedno z lepszych polowań w Galicyi.

Piszący powyższą korespondencyę nie zaniedba zdawać sprawę czytelnikom Łowca z gospodarki w tej wyniszczonej ze zwierzyny kniei, a środki jakich użyje Towarzystwo przez swą administracyę do polepszenia zwierzostanu, niewątpliwie będą pouczającą rozrywką dla właścicieli polowań w ogólności.

B. D.

Żywiec dnia 12. Lutego 1888.

Do tylu rozmaitych uwag i spostrzeżeń, umieszczanych w Łowcu, przez szan. korespondentów, ośmielam się i ja skreślić kilka słów o tutejszych stosunkach łowieckich.

Zwierzostan u nas wcale się nie polepszył, może nawet pogorszył, lubo w kilku rewirach były dosyć zadowalające rezultaty polowań. My tu nie polujemy z psami lecz z nagonką, bo psów nie ma komu chować, leśniczowie nie lubią tego polowania, więc nie chowają gończych psów, tylko rozmaite bastardy, forstehundy i t. p., które naukę zjadania z półmisków doprowadziły do wielkiej doskonałości, więcej od nich wymagać nie można, a gajowi choć który z nich utrzymuje jakiego psa, to raczej z potrzeby pilnowania domu jak dla polowania, tem bardziej, że takie polowanie jest u nas źle widzianem. Pomimo tego jakoś się zwierzyna nie rozmnaża, niemając innych przyjaznych warunków, istnieje wprawdzie zakaz zabijania kóz, ale któż go przestrzega? Mojem zdaniem, nie psy są przyczyną ubytku zwierzyny, jestem wprawdzie nieprzyjacielem wszystkich psów, wyjąwszy legawca i taksa, jako istotnie szkodliwych, ale jakąż szkodę mogłyby wyrządzić ogary w ta-

kich górach wysokich jak Beskidy żywieckie, gdzie polowanie z nagonką wielką trudność sprawia i daje bardzo liche rezultaty? Przeciwnie na Węgierskiej stronie, gdzie leśniczowie i każdy gajowy trzymają sworę lub dwie gończaków, tam sarna jest rzadkością, pomimo lepszego terenu, jak u nas, tam każdy gajowy to uprzywilejowany kłusownik, którego nikt nie złapie, a każdy poluje dla siebie w każdym czasie. Potępiam polowanie z psami gończymi, ale najbardziej z chartami, mianowicie na równinach i tam, gdzie się da z nagonką polować, bo tam rzeczywiście psy są szkodliwe, ale nie w górach. Wprawdzie niektórzy z szan. korespondentów ujmują się za chartami, przedstawiając urocze z nimi polowanie, ja zaś twierdzę, że polowanie z chartami jest formalnem dręczeniem zwierzyny. W górach nie można z chartami polować, tylko na równinach, gdzie jedynie możliwa hodowla zwierzyny. Brak lasów na Podolu służy za wymówkę, ale czyż tam niemogłyby zastępować las remizy, niewymagające wielkich kosztów, a te koszta mogłyby być w krótkim czasie zwrócone. Z chartami trzeba dziennie kilka tysięcy morgów przebiedz i ugonić pięć lub sześć zajęcy, gdy na stu morgach, przy hodowaniu zwierzyny, można ubić tę samą ilość. Pewien myśliwy narzekał, że to okropna rzeź, gdy sto zajęcy na dzień padnie, ja mu odpowiadam, że w innych krajach, pomimo takich rzezi, mają zajęcy dość, ale tam z chartami nie polują. Nie możemy się także powoływać na dawne czasy, w których z psami polowano, a było zwierzyny więcej jak teraz, nie było tyle kłusowników, mało kto polował, więc knieje były spokojniejsze, wreszcie broń nie była tak wydoskonalona jak teraz.

Nakoniec powiem, że zasługujemy pod względem hodowania zwierzyny na naganę surową. Na święta Bożego Narodzenia, potrzeba było oddać parę roga czy do Dyrekcyi, polowaliśmy w czterech przez sześć dni, a nie mieliśmy jeszcze ani jednej sztuki, mioty były ogromne, a myśliwych mało, sarny, jakie były, uderzały na nagonkę, która bardzo źle chodziła, bo snieg był ogromny i okiść w gąszczu. W siódmym dniu wiatr dął ze śniegiem z całej siły, wzięliśmy pierwszy miot pomiędzy potokiem a chodnikiem tak, że strzelcy stali po chodniku flanką, a na głównej linii wystarczał jeden strzelec, ja stałem drugi od dołu, nademną stał leśniczy pan P. Kiedy nagonka dochodziła do końca, trafiła na stado sarn złożone z ośmiu sztuk, rozpierzchło się to na wszystkie strony, wtem usłyszałem szelest, byłem pewny że to rogacz zbliżył się do mnie zaledwie na trzy kroki, nie mogłem poznać ani strzelić, bom nic nie widział w zwartym gąszczu, złożyłem się więc na chodnik, gdzie prawdopodobnie musiał rogacz wyskoczyć, co się też istotnie stało, z błyskiem strzału zwalił się na ziemię, skoczyłem uradowany, ale niestety była to koza, przeląkłem się, że będzie trzeba zapłacić pięć złr. kary, lecz wtem nadchodzi leśniczy i mówi: „*doch etwas werden wir haben*“ rozumie się byłem tem ucieszony, poczem polowaliśmy jeszcze przez pięć dni i ubili jednego zająca.

Dnia piątego Sierpnia z. r. złapałem kłusownika, odebrałem mu dubeltówkę i oddałem całą tę sprawę leśniczemu, jednak do dziś jeszcze ten kłusownik nie był pociągany do odpowiedzialności.

W roku 1886 złapałem z gajowym trzech kłusowników, odebrałem dwie dubeltówki, zapłacili kary po pięć złr. w c. k. starostwie w Żywcu.

Zajęcy u nas bardzo mało, jednak stosunkowo więcej, jak w innych latach, chociaż jakaś choroba grasowała między nimi. W Listopadzie z. r. przynieśli mi chłopi dużego zająca, którego kijami w lesie ubili, zrewidowałem go natychmiast, i znalazłem na wątrobie pęcherzyki napełnione jakąś kleistą cieczą. W lecie z. r. przynieśli mi chłopi słonkę mniejszego gatunku, tak rzadkiego u nas, którą kijami w lesie zabili.

Obecnie zwalisty śnieg daje się tutaj zwierzynie we znaki a z nim głód, niestety nikt u nas jej nie żywi, więc smutne dla nas widoki.

P. S.

KRONIKA.

Lwów dnia 13. Lutego 1888.

W myśl uchwały Wydziału gospodarczego mam zaszczyt upraszać Szanowną Redakcyę o łaskawe umieszczenie następującej wzmianki tyczącej się odroczenia terminu zjazdu.

„V. Zjazd lekarzy i przyrodników polskich we Lwowie. — Czyniąc zadość licznym życzeniom lekarzy i przyrodników a nawet całych instytucyi i stowarzyszeń tak miejscowych jak i zamiejscowych, Wydział gospodarczy uchwalił odroczyć termin zjazdu z miesiąca Maja na drugą połowę Lipca b. r. t. j. od 18. do 21. Lipca.

Z uwagi na odbywający się corocznie zjazd pedagogiczny w dniach 16. i 17. Lipca (który bieżącego roku odbędzie się w Rzeszowie), dzień pierwszy zjazdu oraz uroczyste otwarcie wystawy higieniczno-lekarskiej i przyrodniczo-dydaktycznej naznaczono na 18. Lipca. Wieczorem 17. przyjazd członków i zebranie koleżeńskie, celem wzajemnego się poznania. Na posiedzenia, czyli właściwe prace zjazdu przeznaczono dni cztery, piątego dnia t. j. 22. odbędzie się wspólna wycieczka. Walnych zgromadzeń będzie dwa, w dniu pierwszym (18.) i ostatnim (21.) zjazdu. Towarzyskie zebranie, teatr, koncert, wspólny objad, oraz zwidzanie miasta i ważniejszych instytucyi przeplatać będą prace uczestników.

Wysokość opłaty dla członków zjazdu naznaczono na 5 złr.“

Dr. J. Szpilman.

Lwów 5. Lutego.

Jak wiadomo, Wydział krajowy wniósł na ostatniej sesyi sejmowej projekt do ustawy łowieckiej, który przydzielony komisyi administracyjnej, pozostał prawie nietknięty. Referent tego przedmiotu p. A. Jędrzejowicz nie wypracował bowiem dotąd sprawozdania, nad którem komisya mogłaby była przeprowadzić dyskusyę. Po wniesieniu tego projektu do izby przez Wydział krajowy, odniosło się jednak tutejsze namiestnictwo do ministerstwa rolnictwa z zapytaniem, jakie stanowisko zająć ma w obec tego przedłożenia i właśnie o zapatrywaniach rządu centralnego chcemy mówić — zwłaszcza, że i Wydział krajowy w obec odroczenia sesyi sejmowej, a niezałatwionego projektu, będzie musiał intencye rządu wziąć pod ścisłą rozwagę.

Owóż ministerstwo rolnictwa w ogóle nie uważa reformy, obejmującej całe ustawodawstwo łowieckie, jaka zamierzoną została w projekcie ustawy Sejmowi przedłożonym, ani za konieczną, ani za stosowną, wcale jednak nie zapoznaje tego, że poszczególne postanowienia obecnie obowiązujących przepisów łowieckich, wymagają rozpatrzenia i ulepszenia. Ministerstwo rolnictwa zamierza tedy wnosić do Sejmów krajowych sukcesywnie przedłożenia, zawierające tylko zmianę poszczególnych przepisów łowieckich i mniema, że taką częściową, sukcesywną, za pomocą nowel dokonać się mającą reformą obowiązujących przepisów łowieckich, uskutecznić zdoła ich poprawienie i uzupełnienie z pewniejszym skutkiem, aniżeli przez wydanie nowej ogólnej ustawy łowieckiej.

W myśl powyższego planu wniesione też zostało na poprzedniej sesyi sejmowej przedłożenie rządowe z projektem ustawy, o zmianie niektórych postanowień prawnych co do wykonania prawa polowania, które w brzmieniu uchwalonem przez Sejm nie otrzymało jednak sankcyi, a nadto zamierzone jest ustawodawcze uregulowanie sprawy wynagradzania szkód przez zwierzynę zrządzonych.

W takim stanie rzeczy wolałoby ministerstwo rolnictwa, aby zaniechano, na razie przynajmniej, uregulowania całego kompleksu postanowień o łowiectwie, do czego zmierza projekt przez Wydział krajowy Sejmowi przedłożony, a natomiast ograniczono się do regulowania powyżej wskazanych, a przez ministerstwo rolnictwa przedewszystkiem pod rozwagę wziętych kwestyj prawnych, do których mogłaby być przyłączoną także kwestya wydania postanowień prawnych o kartach myśliwskich.

Zdaniem rządu wypadałoby zatem, w razie przychylenia się Wydziału krajowego do opinii ministerstwa rolnictwa, bez przesądzania o późniejszych ustawodawczych wnioskach i przedłożeniach, na teraz wnieść, względnie przygotować dla Sejmu projekty następujących ustaw specyalnych:

1. W sprawie objętej zeszłorocznem przedłożeniem rządowem zmiany niektórych postanowień prawnych o wykonywaniu prawa polowania.

2. O wynagradzaniu szkód z polowania wynikających i przez zwierzynę zrządzonych.

3. O kartach myśliwskich.

Projekt do ogólnej ustawy łowieckiej, albo zupełnie odłożyć, albo co do merytorycznej uchwały przynajmniej odroczyć.

Jako wzór projektu ad 2, przesłało ministerstwo rolnictwa Wydziałowi krajowemu projekt do ustawy o wynagrodzeniu szkód przez zwierzynę zrządzonych, wniesiony przez rząd na ubiegłej sesyi Sejmu karyntyjskiego. Projekt ten jest niemal identyczny z odnośnemi postanowieniami projektu galic. Wydziału krajowego.

Ministerstwo uznało jednak za wskazane, ażeby zmiany poczynić się mające w karyntyjskim projekcie, a które z powodu specyalnych stosunków naszego kraju okazywałyby się potrzebnemi, zostały omówione w porozumieniu z galic. namiestnictwem, i ażeby w ten sposób ułożony projekt ustawy przed wniesieniem do Sejmu krajowego, zakomunikowany został ministerstwu rolnictwa.

Czy i o ile Wydział krajowy zechce zastosować się do powyższych uwag centralnego rządu, dziś przesądzać nie możemy, gdy nad sprawą tą, o ile nam wiadomo, jeszcze on się nie zastanawiał. Ocenienie zaś poruszonych kwestyi pozostawiamy pismom fachowym.

Dzien. pols.

W kluczu Poturzyckim, dobrach Exc. Włodzimirza hr. Dieduszyckiego odbyło się doroczne wielkie polowanie w dniach 6. do 10. Lutego, którego głównym celem były dziki. Z powodu braku kompletu spodziewanych myśliwych, w dniu pierwszym polowano tylko na rogacze, w następnych czterech dniach miano przeważnie dziki na celu, więc do drobnej zwierzyny albo wcale nie strzelano lub dopiero po pierwszych strzałach do dzików.

Z powodu odległości kilku rewirów, utrudzonego tropienia przez wielkie śniegi, które w kilku rewirach dochodziły do 60 centymetrów grubości, ilość branych miotów była ograniczoną tak, iż w ciągu czterech dni wzięto ich tylko 9.

W polowaniu wzięli udział prócz gospodarza następni myśliwi: Bieliński, Cetner Albert hr., Czartoryski Witold ks., Dzieduszycki Tadeusz hr., Fredro Alexander hr., Gołuchowski Stanisław hr., Kruszewski Wincenty, Obertyński Zdzisław, Polanowski Stanisław, Rieger Władysław, dr. Rieger Zygmunt, Skrzyński Zdzisław, Sołowij Jan, Starzeński Leopold hr., Szembek Piotr hr., Tarnowski hr. (syn marszałka), Urbański, Wojtowicz nacz. stacyi kolej. w Sokalu, Zbyszewski Kazimirz.

Wynik polowania mimo trudności był świetny, padło dzików 32, pomiędzy tymi 5 odyńców, inne sztuki przeważnie większej miary, rogaczów 11, lisów 2. Do zajęcy naturalnie nie strzelano, ani też żadna koza nie padła ofiarą, złowiono wprawdzie dwie żywcem w nagonce, ale je puszczono zdrowe. Grubej zwierzyny zostało jeszcze wiele w kniejach, gdyż z powodu zawalnych śniegów, dziki z trudnością tylko dały się wyprzeć na liniję strzelców, a pomimo że niektóre mioty brano po dwakroć i za każdym razem do dzików strzelano, jeszcze ich sporo w miocie zostało.

O dobrem prowadzeniu łowów i serdecznej gościnności gospodarza, jako o rzeczy powszechnie znanej, nie będę się tutaj rozpisywał. Kontyngens myśliwych był w tym roku mniejszy, jak w innych latach, a to z powodu przerwy w komunikacyi kolejowej, która wielu przeszkodziła do stawienia się na tę myśliwską biesiadę. *Z. R.*

Dnia 20. b. m. odbyło się polowanie w Turce koło Kołomyi, w majątku p. E. Torosiewicza. Myśliwych było 30. Wynik polowania był tak świetny, że nawet ci, którzy dobrze znają tak knieję jak i staranne pielęgnowanie zwierzyny przez p. Jakóba Agopsowicza, nie spodziewali się podobnego, na rozkładzie bowiem leżało 257 zajęcy, 17 rogaczów, 2 lisy i 2 uralskie sowy. Zaprawdę takiej ilości zwierzyny razem ubitej jednego dnia i to we wschodniej części Galicyi nikt pono nie widział. Gdy się uwzględni dzień z taką zawieją, iż trzeba być prawdziwym amatorem, aby pójść do kniei, dalej, iż w takim dniu znaczna część zajęcy kryje się po pod wieś i po parowach w polu, nareszcie że dużo kozłów bez rogów niepoznanych uchodziło bez strzału, to zaiste każdego podobny rezultat w zdumienie wprowadzić musi. Nie obeszło się jednak bez figla spłatanego przez boginię łowów jednemu i to wytrawnemu myśliwemu, oto wychodzą nań dziki a on wkładając nabój do lufy ani zamknąć strzelby ani wyjąć takowego nie może, musiał się więc przypatrywać jak 5 sztuk i to dużych obok niego na 17 kroków przechodzi, strzelił wprawdzie sąsiad obok stojący, lecz śrótem nr. 4. Dziki poszły w brany miot, a że nie było nadziei, by zostały w kniei, gdyż w rewirze Tureckim dzik do rzadkości się zalicza, więc uszły bez szwanku, jedna tylko sztuka lekko farbowała. Inaczej było jednak zapisanem w księdze przeznaczeń, znani bowiem z gościnności gospodarstwo takim tylko gościom nazajutrz odjechać dozwolili, których obowiązek lub gwałtowna potrzeba do tego zmuszała. Na drugi więc dzień część pozostałych pojechała z chartami na lisy, a dwaj myśliwi w celu poszukiwania dzików. Pierwszym udało się uszczuć 3 lisy, drugim ubić dość sporą samurę i tak dokompletować ogólną cyfrę ubitej zwierzyny do poważnej sumy 282 sztuk.

Łaskawi czytelnicy przypomną sobie, gdym przed dwoma laty podawał o odbytem polowaniu w Turce, moje nadmienienie, iż cyfra wówczas podana podwoi się. Nie omyliłem się widocznie a i dziś nie przesadzę, jeśli powiem, że po dwóch najdalej latach żaden z myśliwych nie będzie w stanie mieć przy sobie tyle nabojów, ile będzie potrzebował. Jak wszystko na świecie koleją idzie, tak i tu da się to zastosować; dawniej prawdziwie królewskie knieje, dziś zeszły do zera, inne z nicości do świetności, a między ostatniemi Turecka prym trzyma. Dowód to widoczny co prawdziwe amatorstwo i dobra wola zdziałać mogą. Oby dużo znalazło się naśladowców podobnych, na udowodnienie, że i u nas, nietylko za granicą, można pogodzić pożyteczne z przyjemnem.

Podając do publicznej wiadomości wynik z odbytego polowania, niech mi wolno będzie podziękować państwu J. Agopsowiczom naprzód w imieniu szerszej publiczności za tak gorliwe starania około podniesienia zwierzostanu, a zarazem w imieniu wszystkich biorących udział w tych godach za prawdziwie królewską zabawę i przyjęcie tak serdeczne, nie szumnymi frazesami lecz staropolskiem krótkiem a z serca płynącem „Bóg zapłać“ z życzeniem:

Byście w długie lata żyli bez troski przykrości
A myśliwym sprawiali takie przyjemności.

Kamienna 23. Stycznia 1888.

G. G.

W dniach 23., 24. i 25. Stycznia polowano w majątku Bóbrka, w powiecie Chrzanowskim, własności księcia Ogińskiego. W tych 3 dniach ubito w 12 strzelb 400 zajęcy, 8 rogaczy i 2 cietrzewie. Pora była bardzo niesprzyjająca polowaniu, gdyż deszcz ze śniegiem i zupełna odwilż utrudniały pędzenie zwierzyny. W tych samych rewirach ubito w r. 1885. na trzech polowaniach 900 zajęcy, 38 rogaczy, 7 cietrzewi. — W dniu 30. Stycznia polowano w Nowosiółkach, majątku księcia Bogdana Ogińskiego w powiecie Podhajeckim. W 12 strzelb ubito w dwóch miotach 20 dzików, z których 3 maciory odznaczały się wielkością niezwykłą. Następnego dnia próbowano polować na drobną zwierzynę, ale po trzech miotach myśliwi zmuszeni byli powrócić do domu z powodu zamieci śnieżnej. *Wład. ks. Sapieha.*

Z nad Dniestru, pow. Horodeński.

Nie rozumiem i pojąć nie mogę, dlaczego mimo próśb Redakcyi Łowca niektórzy pp. właściciele polowań podają rezultaty odbytych łowów w dziennikach politycznych. Nie było prawie dnia, w którymby Dziennik polski nie doniósł coś nowego „ze sportu myśliwskiego“ o odbytem polowaniu, n. p. w Jaryczowie, w Bereźnicy Królewskiej, Turce i t. d. Wszak mamy fachowe Pismo nasze, które przecież w setkach egzemplarzy się rozchodzi. Ale u nas wszystko inaczej, jak w świecie się dzieje, krzyczymy, że potrzeba nam Pisma fachowego, reformy ło-

wieckiej i t. d., a gdy to się stanie, opuszczamy ręce i wynajdujemy jakąś nowość jedynie dla odróżnienia się i oryginalności. Sądziłem, że zapał do wspierania Łowca śród tylu myśliwych ostygnąć nie może, dziś przyznaję, żem się bardzo omylił, bo po latach dziesięciu istnienia tego nader pożytecznego i potrzebnego Pisma poczynamy go opuszczać. Cóż będzie, gdy wszyscy zwrócimy się do dzienników politycznych, wtedy Redakcya Łowca zejdzie z właściwego pola swego działania i drukować będzie chyba: „Traktat rosyjsko-francuski“ lub coś podobnego, lub trawiona suchotami zakończy swój żywot.

Jeden z czytelników Łowca i Dzien. polsk.

———

Żuków p. Horodenka.

Zeszłego tygodnia opowiadał mi miejscowy gospodarz, że „jakieś łycho dusyt jeho kury“ a zarazem prosił mnie, bym mu pożyczył żelaza, aby, jak się sam wyraził, „toto łycho złowyty“. Pożyczywszy mu żelazo nie mogłem osobiście tego dnia udać się na miejsce wypadku, aby sprawdzić tożsamość szkodnika. Po kilku dniach spotyka mnie ten sam gospodarz i opowiada że „łycho“ znowu zadusiło u niego samego 14, a u drugiego sąsiada 12 kur i 2 kaczki. Niedowierzając, udałem się na miejsce wypadku, gdzie rzeczywiście zastałem 28 sztuk zaduszonych, ale śladu szkodnika najmniejszego znaleść nie można było. W pierwszej chwili sądziłem, że musi być kuna domowa tym szkodnikiem, — ale jakże się omyliłem, gdy dnia następnego przynosi ów gospodarz żbika samicę, którego zabił drączkiem w stodole, przy pomocy psów i 8 sąsiadów. Ciekawą rzeczą jest, skąd się ten nieproszony gość wziął, gdyż w naszej okolicy żbiki nie egzystują i nikt ich tu nie widział, a do tego aby przez cały tydzień w stodole chłopskiej przemieszkiwać i kury dusić, jest to rzeczą niepraktykowaną w rodzie żbików.

E. P.

———

Z Hrubieszowskiego, Styczeń.

Co znaczy dobra ochrona zwierzyny, tutaj najlepiej przekonać się można. Mimo bowiem miękkości prawa o ochronie zwierzyny, mimo różnych wiadomych nieprzyjaznych okoliczności, Hrubieszowskie stanem zwierzyny, szczególniej sarn, poszczycić się może, a zawdzięcza to jedynie staranności niektórych właścicieli myśliwych. Stan sarn świetny, zajęcy dobry, a prócz tego i dziki często się spotykają. Polowaliśmy dwa razy; pierwszy raz w dobrach pana Franciszka Świeżawskiego, gdzie na dwanaście strzelb, mimo niesprzyjającej pogody, padło w przeciągu kilku godzin ośmnaście zajęcy i siedm kozłów. Prawie w każdym miocie widać było wielką ilość naszych leśnych baletnic, jak w zgrabnych skokach przebiegały linie strzelców wybierając, gdzie mniejszy śnieg i swobodne miejsce do przechodu, a legło ich tyle, że w ostatnich miotach właściciel prosił, by już nie strzelano do kozłów, w skutku czego spora ilość nieszczęśliwych mężczyzn koziego rodu przeszła bez strzału. Ciągłe śnieżyce i zawieje napełniły prawie lasy śniegiem, co niezmiernie utrudniło pochód nagonki, która mimo tego jednak, wzorowo szła i jak oddział żołnierzy równo wyszła na strzelców. Z powodu jednak tej wielkiej ilości śniegu, zające zupełnie na strzelców wychodzić nie chciały, a po kilkudziesięciu susach spokojnie dały przejść nagonce zakopując się w śniegu.

Drugie polowanie, w dobrach ś. p. Władysława Wojciechowskiego w siedm strzelb wypadło świetnie. Padły dwa dziki, wilk, lisy, kozły, i pięć zajęcy w przeciągu kilku godzin. Wilk z sarnią łopatką w pysku, wypadł na gospodarza polowania p. J. Kiełszewskiego, który celnym strzałem pozbawił go przyjemności spokojnego spożycia sarniej pieczeni, a zarazem rozbójniczej egzystencyi. Również godnym widzenia był piękny strzał p. Tadeusza Świeżawskiego, przeszło bowiem na sto kroków położył z expressa koziołka, który idąc w wielkich susach padł jak piorunem rażony na miejscu. Słowem wszyscy celnie strzelali, polowanie krótkie bo kilkugodzinne dało rezultat świetny i wszystkich zabawiło i wprowadziło w dobry humor. Serdeczna i prawdziwa gościnność, bez niepotrzebnej wystawy, cechuje te strony a szczególniej odznacza się tutejsza okolica wspólnością przekonań, celów i myśli, pracowitością w roli i prawdziwem, serdecznem sąsiedzkiem pożyciem. Dlatego też rzadko i bardzo rzadko się zdarza, by ktoś tutaj ziemię dziedziczną sprzedał lub by majątek obciążony długami został zlikwidowany; przeciwnie praca i dobre gospodarstwo trzymają złotodajną ziemię Hrubieszowską twardo w rękach właścicieli. Gdy zaś ktoś zmuszony jest sprzedać majątek okolicznościami, nigdy sąsiedzi wszyscy ze sobą spowinowaceni, nie dopuszczą, by wyszedł z ich koła. To ich trzyma i dobrze się tu dzieje, a reszta Królestwa z tąd stanowczo przykład brać może. Jedność, życie wedle stanu, stanowi podstawę bytu tutejszego obywatelstwa, a przysłowie „wedle stawu grobla“ i „czem chata bogata tem rada“ zastosowane są w całości.

J. B.

———

Z pod Lwowa 1. Lutego 1888.

Przez dwa dni mianowicie 14. i 31. Stycznia b. r. brałem udział w polowaniu Jaryczowskiem, majętności należącej do pana Walerego Krzeczunowicza. Pomienioną knieję znam dokładnie od lat dziesięciu, a jakkolwiek rezultaty lat upłynionych były zawsze co do ubitej zwierzyny dobrymi, w tym roku przeszły wszelkie oczekiwania. Dnia 14. Stycznia w 9 strzelb ubito: 4 kozły, 45 zajęcy, zaś 31. Stycznia w 10 strzelb: 8 kozłów, 35 zajęcy i sowę uralską. Jedna zatem knieja o przestrzeni około 800 morgów, podzielona na dwa rewiry łowieckie, dostarczyła 12 kozłów i 80 zajęcy. Nadmienić przytem należy, że kozłów i zajęcy spora ilość pozostała na rok następny, bo oprócz strzałów chybionych, dużo zwierzyny w każdym miocie uchodziło na boki lub na nagankę. Pomijając sprzyjające dla sarn i zajęcy położenie lasów o mieszanym drzewostanie, oddać należy sprawiedliwe uznanie administracyi i nadzorowi leśnemu, że kłusownik nie ma tu przystępu, a ponieważ polowanie z zasady tylko raz jeden w ciągu roku odbywać się zwykło, przeto zwierzyna mając podostatkiem pożywienia a nie będąc często niepokojoną, ściąga z sąsiednich lasów i w miejscowych z przyjemnością przebywa. Podejmywani przez gospodarza z całą uprzejmością opuściliśmy dom gościnny zadowoleni wynikiem całego polowania i zakończeniem łowów na szaraki.

W. C.

———

Kołomyja, 25. Stycznia 1888.

Dnia 10. Stycznia odbyło się ogólne zgromadzenie członków Kołomyjskiego Towarzystwa myśliwych. Sprawozdanie wydziału wykazuje: W roku 1887. wpisało się na członków 38 panów, z tych jeden wystąpił po 4 miesiącach, a jeden przeniesiony po 10 miesiącach, pozostało do końca roku 1887 nominalnie 36 członków, wszakże z tych 36 pozostało dłużnymi co do wkładek czterech z kwotą 8 zł. 50 ct., zaś za nogi ptaków drapieżnych 16 członków z kwotą 15 zł. 20 ct., razem więc zaległość wynosi 23 zł. 70 ct. Spis ubitej zwierzyny podało 24 członków, którzy ubili w roku 1887: derkaczów 64, dubeltów 8, gołębi 3, kwiczołów 5, kaczek i ceranek 24, kszyków 42, kulików i kureczek 36, kuropatw 28, przepiórek 441, słonek 25, zajęcy 99, szkodliwych skrzydlatych 143, czworonożnych 15. Straż towarzystwa odebrała od jednego kłusownika strzelbę a oprócz tego czterech zaskarzono w starostwie, znaleziono też sidła z mocnego giętkiego drutu mosiężnego. Do zarządu na rok 1888. wybrano wszystkimi obecnych na posiedzeniu głosami: prezesem pana Honorata Sendzimira, zastępcą pana Emila Stechera, wydziałowymi panów: Antoniego Schindlera, Tytusa Tuffeka, Emila Filousa, zastępcami panów: Wacława Chołoniewskiego i Romana Jarosiewicza.

———

Miławczyce (Król. Polskie) 28. Stycznia 1888.

W połowie Stycznia polowano przez dni pięć w 12 do 14 strzelb w lasach należących do Chrząstowa i okolicznych. Rezultat wypadł nader pomyślnie, o czem przekonać się można ze spisu ubitej zwierzyny niżej podanego.

W ogóle stan zajęcy bardzo dobry, zważywszy na warunki, w jakich się znajdujemy t. j. służebności wszelkiego rodzaju w lasach przez rok cały, niewystarczające przepisy myśliwskie najgorzej wykonywane, luźność w karaniu kłusowników i protegowaniu tychże przez kupno od nich kradzionej zwierzyny — stąd ich liczba bardzo znaczna.

Polowanie w Chrząstowie u hr. Rodryka Potockiego jest z całem zamiłowaniem i znajomością rzeczy prowadzone, ilość sarn znaczna, a choć to lasy głębokie i bagniste, to jednak zająca często na cel wziąć można. W ogóle stan zwierzyny corocznie się polepsza, przy nader trudnych warunkach myśliwskich, gdyż Chrząstów na przestrzeni 15 wiostr graniczy z najgorszymi sąsiadami, nie mającymi żadnego względu dla kóz i to w każdej porze roku.

Polowano tam dwa dni, pierwszego dnia w pierwszym miocie zwanym „Mustkowa poręba“ padło 40 zajęcy — przecież to rezultat bardzo piękny. A wiecie szanowni koledzy w św. Hubercie, dla czego poręba ta „Mustkową“ się zowie? Oto faworyt pań, malutki, tłusty mopsik zwany „Mustkiem“, zawsze im towarzyszył na spacer do tej poręby, położonej w bliskości pałacu i uganiał za zającami, które nie wiele sobie z niego robiły, a sarny tupały nie uważając go za niebezpiecznego przeciwnika. Te harce wszystkich bawiły, to też często je powtarzano. Mops skończył swój żywot, a porębę na jego pamiątkę „Mustkową“ nazwano i imię jego uwieczniono na zawsze.

Polowanie w Krzepinie zasługuje na szczególną wzmiankę, gdyż właściciel p. J. Siemieński, kupiwszy przed kilku laty ten majątek, zastał zaledwie kilka zajęcy i kilka sarn na dużej przestrzeni leśnej, będąc zamiłowanym myśliwym podniósł znacznie zwierzostan i to w bardzo krótkim czasie, jak najlepiej świadczą cyfry niżej podane.

Oprócz dwóch powyższych miejscowości, polowaliśmy w Czaryżu u hr. Wł. Morstina i w Moskorzewie u p. A. Ostrowskiego, — a wszędzie zauważono znaczny przyrost zwierzyny, przy gorszych warunkach miejscowego położenia. Oto szczegółowy wykaz:

		rogacze	lisy	zające	razem
16 Stycznia	Czaryż	—	—	35	35
17 „	Krzepin	2	1	80	83
19 „	Chrząstów (rewir Tomaszów)	2	3	105	110
20 „	„ (rewir Michałów)	8	2	55	65
23 „	Moskorzew	3	—	37	40
	razem	15	6	312	333

wyraźnie sztuk trzysta trzydzieści trzy. *Trzebiński.*

W Rajtarowicach w majątku Wielm. Macieja Zenona Serwatowskiego, w dniu 31. Grudnia 1887. zakończyliśmy rok stary polowaniem na dziki, gdzie w 15 morgowym miocie w zapuście 20 letnim, z otropionych 14 sztuk dzików, w dwóch stadkach ubiliśmy w siedm strzelb na 24 strzały siedm sztuk (z tych dwie grube sztuki), prócz tego trzy postrzelone przeszły w sąsiednie lasy. Do świetnego rezultatu polowania przyczynił się najwięcej obfity śnieg, kartofle i żołędzie, na których dziki obok miotu tego przez dłuższy czas żerowały, a przedewszystkiem pp. S. i hr. D., z których pierwszy dwie, a drugi jedną dubletę zrobił. Zachęceni dobrym rezultatem poprzedniego polowania, polowaliśmy po drugi raz dnia 17. Stycznia w 6 strzelb i z otropionego stadka 4 sztuk na 4 strzały padły 3 sztuki, czwarta postrzelona przeszła w sąsiedni rewir, przyczem hr. D. znowu dubletę zrobił.

Rajtarowice, 24. Stycznia 1888.

F. Józef Wróbel.

Na polowaniu u Wielm. Stanisława Dolańskiego w rewirach Baranów i Narły ubito w Styczniu w 11 strzelb 24 rogacze, 1 dzika, 6 lisów i 155 zajęcy. Zabawny zdarzył się podczas tego polowania wypadek: ubitego przez pana M. S. zająca porwał lis zgłodniały i unosił go w głąb miotu, ale śmiercią za to został ukarany.

Na polowaniach u Jana hr. Konopki w rewirach Breń i Wietrzychowice ubito w 10 strzelb: 6 rogaczy, 215 zajęcy, 2 lisy. W lesie Breńskim znajdują się od kilku lat zupełnie białe sarny, których liczba wzrasta, a na polowaniach białe rogacze bywają oszczędzane.

Dnia 27. Stycznia b. r. odbyło się polowanie w Chomiakówce u p. K. Agopsowicza w kniei 60 morgowej. Myśliwych było 11, nie bawiąc dłużej, jak dwie godziny, zabiliśmy 45 zajęcy. Ponieważ dzień był bardzo pogodny, wybraliśmy się po obiedzie z chartami na lisy, wyprawa ta była uwieńczona również dobrym skutkiem, gdyż przywieźliśmy do domu 2 lisy, jeden zaś chartom uciekł, a to z tej przyczyny że pole było cokolwiek za ostre. Nazajutrz 28. Stycznia polowaliśmy w sąsiedztwie w Kułaczkowcach u p. A. Agopsowicza w kniei 90 morgowej, również w 11 strzelb i ubiliśmy 60 zajęcy i 2 lisy. Pomyślne rezultaty obu tych polowań dadzą się w następujący sposób wyjaśnić: obie te knieje mają nader korzystne położenie z natury, mianowicie z jednej strony granicą bezpośrednio ze wsią, zresztą dokoła z polem otwartem, a co najważniejsze, obaj panowie właściciele bardzo zwierzynę szanują, karmią ją podczas tegorocznej ostrej zimy i prześladują zawzięcie kłusowników. *A. T.*

Kamienopol, Styczeń.

Wszędzie jedna, ponura brzmi pieśń: — oto zima! Wtórzą jej chętnie ci, którym ciepło i zaciszno w mieszkaniach, ale nie zwierz dziki, któremu chłodno i głodno. Najbiedniejsze kuropatwy, śnieg miejscami na łokieć grubą warstwą pokrył oziminy, gdzieniegdzie wicher odkrył wzgórza, więc głodne stadko bodaj nasieniem chwastu lub pozostałem ziarnkiem się pożywi, ale wnet świeży śnieg pokrył „zdymki“, jak je lud nazywa i znowu nędza. W przeszłej zimie dla kuropatw „był bal“, jak mówi Szczepaniak wieśniak ze wsi Prus, a ów Szczepaniak to wielka powaga. Niegdyś kłusownik, szczególnie na kuropatwy, które wyławiał pod rozjazdem, dziś odprzysiągł się (niby) kłusowniczego zawodu i z nami poluje poczciwie. Spryt jego i znajomość obyczajów zwierzyny łownej istotnie zadziwiające. 12. Stycznia ja i Szczepaniak pojechaliśmy parą jaknajleniwszych koni wprzągniętych do chłopskich sani, na kuropatwy z dużym rozjazdem. „Jedźmy na góry“ — mówię ja. „Et! lepiej na pola wsi Podborzec“ — odpowiada Szczepaniak. Stało się jak chciał. Mimo podeszłego wieku sokoli rzucił wzrok w koło i wnet w czarnym ledwie dostrzegalnym punkcie wskazał stadko kuropatw. Podjeżdżamy i widzimy, jak biedne ptaki *viribus unitis* parpią w śniegu, rozpryskując go na wszystkie strony. Szczepaniak pozostał w dali, wydeptał ścieżkę w śniegu, rzucił jako przynętę plewę hreczaną i takiż snop roztroczony i nastawił rozjazd, a mnie polecił wprost jechać na kuropatwy, okrążywszy je. Uczyniłem jak kazał i wnet stadko kuropatw biegnąc przed końmi podążały, zgubnym dla nich szlakiem. Było ich 26 i wszystkie nakryliśmy rozjazdem. Z wiosną parkami rozpuścimy je na rozpłodek. Szczepaniak dobrze strzela, ale chodzi zawsze z pojedynką, bo twierdzi, że dubeltówka „ni naco“, mierzy się z niej wprost, a ona strzela w lewo lub prawo. Gdy spudłował, wymawiał się: „Ot pióro zatkało ranę od śróta i ptakowi nic“. Dobry on był myśliwy, ale już zeszedł z pola.

Sarny, a nawet zające bardzo biedują w tej srogiej zimie. Na oziminach zwalisty śnieg. Sarny żywimy rozwieszając po krzakach snopy owsa lub koniczyny, czy jadły, trudno dociec, bo codziennie śnieg pada lub zadymka zaciera trop. Mówiono mi, że, jak przysłowie mówi: „Przy bogaczu chudzina się pożywi“, biedne szaraki korzystają z poddanego dla sarn żeru i jedzą go w najlepsze. *F. Gintowt.*

Hadle, Styczeń.

W dniach 21. i 23. Stycznia b. r. odbyły się polowania w Bojanowie i Stanach w powiecie Niżańskim. Na 16 strzelb zabito 12 zajęcy 17 rogaczy, 3 lisy i 2 dziki. Wziąwszy na uwagę ogromną trudność polowania z powodu nawalnych śniegów, której tylko energia młodych gospodarzy, zadziwiający ład w prowadzeniu polowania i wytrwałość naszych mazurów podołać potrafiła — potrzeba przyznać — że polowanie w Bojanowie i Stanach do bardzo ładnych zaliczyć można. Najlepszych miotów, gdzie są stałe dziki, nie można było brać, są to bowiem moczary i trzęsawiska, w tej zimie z powodu wielkich śniegów niezamarznięte, a więc niemożliwe do przebycia. W lasach tych, dokąd jeżdżąc przed kilku laty na polowania brałem cztery ładunki ze śrótem a 2 z kulami i czułem się zadowolonym, gdym wszystkie wystrzelał, stan zwierzyny dzisiaj jest świetnym. Sarn szczególnie jest taka mnogość, że w każdym miocie wychodziło na linię strzelców po kilka rudelków złożonych czasem z 20 i więcej sztuk. Biedne te stworzenia z wielkim trudem brnęły w śniegach stając się łatwym łupem myśliwych a nawet i pogonki, która pomimo zakazu łapała je żywcem bez względu na płeć. To też zwierzyna w tych ogromnych lecz w paszę ubogich lasach bez opieki ludzkiej nie mogłaby się utrzymać i tylko ciągłemu żywieniu i pielęgnowaniu zawdzięcza swoją egzystencyę. W każdym też rewirze spotykaliśmy tryzubki pełne siana odwidzane ciągle przez sarny i zające. Z innej zwierzyny, jak już wspomniałem, są w tych puszczach bardzo pospolitymi dziki, trzymające się przeważnie rewirów moczarowatych lub zalesionych dębiną. Lis tępiony ustawicznie, rzadkim jest tam gościem; z ptactwa leśnego spotkać tam można kuropatwy, jarząbki i nie rzadko cietrzewie, latem zaś gnieżdżą się na ługach dzikie kaczki. Przy wielkiej ilości jest też i rozmaitość zwierzyny dodająca każdemu polowaniu pewnego uroku. — Ładne więc polowanie w lesie a serdeczne przyjęcie w domu, zostawiło niewątpliwie w pamięci każdego z uczestników tych łowów niezatarte wspomnienie.

Ł.

Redaktor: **Józef Łoziński.** Adres: **Władysław Zontak** ul. Teatralna Nr. 18.

Z Związkowa Drukarnia we Lwowie.